Nr. 15 (1163). Warszawa, dnia 28 Marca (11 Kwietnia) 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Likwidacya spadku.

Turcya od pokoju adryanopolskiego przypomina dłużnika, prowadzącego jeszcze wielkie interesa, trzymającego dom na wielkopańskiej stopie, fetującego swych wierzycieli wystawnymi obiadami i królewskimi balami — a w rzeczy samej skazanego na upadłość, którą zła wola zamienić może w każdej chwili w podstępne bankructwo, a której żadne już wspaniałości, umizgi i wykręty odwrócić nie zdołają. Całem jej dotychczas zbawieniem była niemożność dokonania likwidacyi przez Rosyę w zgodzie z Europą, a bez wzajemnego porwania się na siebie drobnych narodów i narodowości bałkańskich. Po niedorzecznej polityce austryackiej XVIII w. przyszła niedołężna europejska w XIX w. Dwa wielkie spory minionego stulecia o Turcyę między potęgami zachodniemi a wschodem los rozstrzygał na jej korzyść. Po wojnie 1853—6 r. w rozumie politycznym przez Francyę i Anglię podjętej, ale w niedołęztwie wzajemnych zawiści, krótkowidztwie i ubóstwie idei przewodnich świata politycznego przeprowadzonej, Porta zyskała dalszy kredyt u wierzyciela, zwanego Europą; w wojnie znowu z r. 1877—8 ocaliła ją polityka równowagi, wprawiona w drżenie przez Bismarcka i Beaconsfielda, ale równowagi widzianej na krótką metę, podtrzymywanej sklepikarskim, drobnogroszowym kredytem, bez wielkiego rozmachu, który sam jeden tylko mógł przez ulepszenia wewnętrzne dać moc odradzającą i trwałość. Traktat berliński jednę tylko, jedyną stwierdził pobudkę: chęć zatamowania postępów Rosyi, ale zarazem i oczekiwanie na przyszły spadek po „chorym człowieku.“ Tu znowu Austrya popełniła niedorzeczność: dała się Bismarckowi złapać w sieć, z której niełatwo będzie się jej wydobyć — chyba tak, jak się wydobyła ze wspólnej posesyi Szlezwigu i Holsztynu, nową Sadową, jeśli nie gorszym jeszcze pogromem. Po czterech wojnach XIX w. Turcya jeszcze istnieje: i oto wszystko, co Europa, a raczej sprzeczność interesów, chleb codzienny polityki, dla niej uczyniła.

Sam nieodwrócony sposób załatwienia sporu z r. 1877—8, przy zaniechaniu wszelkiej w wielkim stylu opieki, wytworzył dla Turcyi położenie, w którem ujrzeć miała przed sobą nowych nieprzyjaciół, przybywających do dawnych. Nie byli to już przez absolutyzm urzędników sułtańskich i fanatyzm jego współwyznawców dręczeni poddani: były nowe, za przykładem Greków i Rumunów, do życia zbudzone narodowości półwyspu Bałkańskiego. Z niemi już teraz, z Serbami i Czarnogórcami na północy, z Bulgarami w całej wschodniej części wielkiego terytoryum, obejmowanem przez publicystykę nazwą Macedonii, a nie z samą tylko Rosyą ucierać się musi. Właśnie traktat berliński wprowadził likwidacyę spadku jako dogmat, bo zajęcie Bośnii i Hercegowiny, wyzwolenie Rumelii wschodniej innego nie mogły wydać hasła. Pojęcie i żądza tej likwidacyi prześwitują przez wszystkie działania, układy, ugody, noty, naciski, groźby, przełożenia i rady przyjacielskie; wyraźnie się je wyczuwa pod całą chwilą obecną współdziałania Austryi z Rosyą, noszącego charakter przyjazny dla Turcyi, a zwracającego się nieprzyjaźnie przeciwko sprawcom zawieruchy obecnej, Bulgarom z bronią w ręku sięgającym po Wielką Bulgaryę. Samo to współdziałanie obu potęg europejskich nie jest niczem do dawniejszego zwarcia się Józefa II z Ces. Katarzyną II podobne; właśnie ugoda z kwietnia 1897 r. daje najoczywistszy dowód wprowadzonej już przez ludzi i przez wypadki likwidacyi Turcyi w Europie. Narodowości mogą żyć lub nie żyć we własnych państwach; nad Turcyą powiedziano już „amen“ i nic jej nie ocali.

Rozwiązanie wszakże kwestyi tureckiej przejść musi przez rozwiązanie kwestyi europejskiej: kto i co po Turcyi dostanie, bądź jako terytoryum, bądź jako obszar wpływu, bądź jako protektorat lub opiekę, i jakie równoważniki wartości otrzymanych przez jednych dostać się powinny tym, co nie dostaną żadnej, a przecież na to są wielkiemi mocarstwami, aby bez nich nic wielkiego w świecie mocarstwowym się nie stało. Znamienną pod tym względem jest wyglądająca na inicyatywę przyszłego ruchu dyplomatycznego, ale przy tajemniczości działań gabinetowych niedająca się dziś jeszcze wyrozumieć, postawa Francyi. Zwrócono tu na nią uwagę przed dwoma tygodniami, głównie z powodu tonu stale panującego w półurzędowym *Temps*. Ogłoszone tymczasem 52 dokumenty z r. 1902 i 20 z r. 1903, w dwu posytach „Księgi Żółtej“ mają moc przekonywającą o nastrojeniu dyplomacyi francuskiej na ton, mimo zasadniczego przymierza, niezgodny z objawionymi przez Rosyę zamiarami, z dokonywanymi czynami dyplomacyi rosyjsko-austryackiej. Francya ujmuje się za Bulgarami i Wielką Bulgaryą przyszłości, a nawet Bourgarelles w Sofii zachęca swój rząd do wytrwania w polityce wielkiego serca, mającej pociągnąć inne państwa do zakończenia raz na zawsze rachunków z Turcyą i urzeczy-

wistnienia nadziei przez przewodnią dziś narodowość bulgarską żywionych. Cała ta korespondencya ściągnęła na rząd francuski, w szczególności na p. Delcasségo, ostrą, uszczypliwą krytykę dziennika *Nowoje Wremia*, przedrukowaną dosłownie w części nieurzędowej *Journal de St. Petersbourg*.

Komitety macedońskie, oddziały zbrojne, tajemne dostarczanie broni, najdoskonalszych karabinów — prawdopodobnie cichaczem przez Paprykowa, któremu i za to między innemi wypadło usunąć się od steru ministeryum wojny — wszystko to w tonie dyplomacyi francuskiej musiało znaleźć zachętę podżegawczą, podpał i hasło. Czy rząd francuski sam dla siebie i przez siebie dąży do utrzymania wrzenia, któreby musiało wywołać daleko ostrzejszy od dzisiejszego stan zapalny na półwyspie, czy też powoduje się pobudkami niejasnemi dziś jeszcze dla rozsądku, przez to samo, że rozsądkiem jest, zobowiązanego przewidywać i podejrzewać; czy wytrwa na obranej drodze, czy z niej zejdzie — w każdym razie to, co już dotychczas uczynił, ma skutek oczywisty i będzie miało skutki nowe, spełniony już dopełniające. Przytoczony w „Tygodniu politycznym“ głos konsula w Tessalonice odpowiada zupełnie skali wypadków. Położenie jest bardzo poważne, a potrzeba tylko nowych *Bulgarian atrocities*, odzywających się już w owej księdze żółtej, aby się stało groźnem. Do tych zaś okrucieństw tureckich łatwo przyjść może przy wyzywającej postawie powstańców bulgarskich, jako do koniecznego z prawa samej natury odwetu. Na to liczą Bulgarowie, tego obawiać się powinna i Turcya ze strony najlepszych swych patryotów, a najdzikszego w Europie ludu — Albańczyków. Jeżeli za Francyą stoi Anglia, Włochy i Austrya, sprawa wschodnia nie będzie rozwiązaną bez udziału Europy, Turcya zaś nie pozwoli jej sobie rozwiązać bez wojny, bo chce żyć; ale Francya i Anglia, nawet Włochy, mogą coś z likwidowanego majątku otrzymać, Austrya wyjdzie z pogruchotanemi kośćmi, dobrze jeszcze, jeżeli przytem i żywa.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Najważniejszym wypadkiem bulgarskim jest napad, d. 31 z. m. na konsula cesarsko-rosyjskiego, p. Szczerbinę, w chwilowo dnia poprzedniego zajętej przez Albańczyków Mitrowicy. Konsul ciężko zraniony. Sprawcą jakiś fanatyk Albańczyk. Sam sułtan nawet się przeraził; wielki wezyr uroczyście przeprosił p. Zinowiewa; na radzie ministrów postanowiono wystąpić energicznie; 16 batal. redyfów smyrneńskich przewieziono do Tessaloniki; dalsze przewozy z Azyi zapowiedziane. Albańczycy muzułmanie za dni naszych jeszcze okazywali się lepszymi Turkami od Turków, i teraz występują jako ultra-patryoci tureccy, żądając zaniechania reform. Wojsko sułtańskie starło się z nimi ostatniego marca w Mitrowicy i pod tem miastem. Z oddziałami powstańczymi codzienne potyczki; broń obficie przemycana z Bulgaryi, gdzie wielko-bulgar Paprykow, b. minister wojny, ma zostać inspektorem armii.

W ogłoszonym urzędownie wyciągu z raportu konsula cesarsko-rosyjskiego w Tessalonice, czytamy: „Liczba band codziennie wzrasta. W całym okręgu niema ani jednej wsi, gdzieby się nie gnieździli powstańcy,“ a dalej: „Trudno przypuścić, aby agitacya rewolucyjna, która od lat wielu głęboko się zakorzeniła, teraz sama rozeszła się w sposób spokojny. Chociaż niema podstaw do oczekiwania powstania ogólnego, jednakże nie należy tracić z oczu możliwości jednoczesnych wybuchów zbrojnych w różnych punktach trzech wilajetów.“

D. 2 b. m. zawitał do Kopenhagi ces. Wilhelm na obchód jubileuszu króla Chrystyana. Obiad dał mu sposobność do toastu — do niezwykle gorącego, nawet uniżonego wywnętrzenia się, jak gdyby wojna 1864 r. była tylko baśnią, a prześladowanie Duńczyków, języka i narodowości duńskiej w Szlezwigu — zabawką. Odpłynął cesarz z powrotem jako admirał floty duńskiej.

W Bulgaryi Danew na nowo prezesem gabinetu, Sawow ministrem wojny.

Komisya Izby niższej sejmu wiedeńskiego ukończyła obrady nad projektem ugody z Węgrami, odrzucając wniosek wszechniemca Schalka o zawarcie stałej ugody o cła z ces. niemieckiem. W ostatnim dniu posiedzeń, d. 3 b. m. poseł Daszyński wyciągnął przed Izbę pamięć zmarłej matki namiestnika Pinińskiego, o którego dymisyi pogłoski się wzmagają. Następcą ma zostać Andrzej Potocki.—W Zagrzebiu rozruchy powtarzały się jeszcze d. 31 z. m.

We Francyi zamknięto 54 klasztory męzkie, kaznodziejskim i nauczającym dano zwłokę. Szkoły średnie będą utrzymane do końca roku szkolnego. Ogółem szkół zakonnych jest około 1,600. Dłuższej zwłoki udzielono tylko klasztorom miłosiernym, opiekującym się obłąkanymi i ociemniałymi. — Izby uchwaliły budżet ostatniego marca.

W Salamance rozruchy studenckie z rewolucyjnemi znamionami. Studenci w Madrycie demonstrowali swą niechęć ku nowemu ministrowi skarbu za zbytnią jego szczodrobliwość dla budżetu.

Król Edward d. 3 b. m. stanął w Lizbonie. Będzie w Rzymie, nawet w Watykanie.

D. 3 b. m. zmarł w Tyrolu były marszałek i namiestnik Galicyi, Eustachy Sanguszko, człowiek bardzo średniej miary.

Roosevelt miał w Chicago mowę o doktrynie Monroego. W myśl tej doktryny właśnie Stany Zjednoczone wzięły w swe ręce załatwienie sporu między mocarstwami europejskiemi a Wenezuelą; w obronie tej doktryny oprą się najściu każdego mocarstwa europejskiego na terytoryum obu Ameryk, a w jej duchu nie dopuściły kapitałów angielskich do Panamy i kanału. Do dalszego pochodu na tej drodze potrzebują Stany — armii coraz liczniejszej i doskonalszej floty.

Rząd pruski wytoczył proces komitetowi pomocy dla ofiar sprawiedliwości pruskiej we Wrześni z r. 1902. Przestępstwem ma być ułatwienie ucieczki paniom Piaseckiej i Bednarowiczowej, oraz p. Piaseckiemu, którzy szczęśliwie uciekli przed więzieniem pruskiem do Galicyi. W liczbie oskarżonych są: dzielny mecenas Wolański, dr. Niegolewski, 3 kupców, 3 rzemieślników, publicysta Chociszewski, 3 obywateli ziemskich i ksiądz parafialny (Mieczysław Łabęcki z Wrześni).

---

1)

Wacław Sieroszewski.

POWRÓT,

POWIEŚĆ.

*

I.

Anno, są!.. Nareszcie przyszły... Jedziemy... Doprawdy przyszły... Jedziemy!.. Rozumiesz? — wołał pobladły od wzruszenia mężczyzna, wpadając z papierami do jurty.

Młoda kobieta zerwała się z ławy i pochwyciła stojące obok dziecko.

— Kto przyszedł? Co takiego?! — pytała z wyrazem bolesnej trwogi.

— Pozwolenie... — szeptał mąż.—Rozumiesz: pozwolenie!..

Podsuwał jej blizko papiery, ale ona nie widziała ich, zapatrzona szeroko otwartemi oczami gdzieś w przeszłość czy przyszłość, aż nagle świadomość mignęła w jej źrenicach i wtedy pospiesznie zakryła ręką twarz, nabrzmiewającą łzami.

Zdziwione dziecko zwróciło się ku niej i zaczęło poważnie świdrować paluszkami w szczelinach kurczowo zaciśniętych palców. Mężczyzna objął oboje, przytulił do siebie i mówił dalej głosem przyduszonym:

— Gołąbko moja... kochana moja... uspokój się!.. Wszak to już koniec, już wszystko minęło... Wolni...

— I cóż? Kiedyż?! — spytała, wycierając łzy.

— Zaraz, dziś... Leo pisze, że parowiec odchodzi jutro wieczorem. Musimy dziś na noc wyruszyć; inaczej nie zdążymy. Już kazałem Betingetowi konie z pługa wyłożyć i wóz oporządzić... Chwili nie mamy do stracenia... Rzuć wszystko i zaraz bierz się do pakowania.

— Ach, Stefku, tak nagle?! Wszystko w życiu naszem dzieje się takimi skokami!.. — westchnęła pani Anna.

— Cóż robić?! Taka niesie nas fala... Dobrze przynajmniej, że tym razem szczęśliwa!.. Trzeba korzystać z odpływu... Spiesz się...

Pani Anna postawiła dziecko na ziemi.

— Niech Oleś będzie grzeczny i nie przeszkadza mamie.

W odpowiedzi na to Oleś wetknął głowę między jej kolana i uczepił się fałd sukni z wielce obiecującem bąkaniem.

— Tylko niech Oleś nie płacze, bo to będzie bardzo brzydko z jego strony. Tatuś zajęty, a mamusia musi rzeczy pakować!.. Ach, Boże, co za chaos! Doprawdy nie wiem, od czego zacząć. Czyżbyś miał serce, Stefanie, opuścić nas w tej potrzebie — dodała z uśmiechem, spoglądając na męża, który, jak stał w czarnym filcowym kapeluszu na głowie, przysiadł u stoła i szybko list kreślił.

— Hej, Betinget!..

W otwartych drzwiach, na tle błękitu i dalekich wyzłoconych słońcem lasów modrzewiowych, pojawiła się oliwkowa twarz młodego Jakuta.

— Odnieś list do pana nad Białe jezioro — rzekł po jakucku. — Żywo! Uwijaj się!.. Dałeś koniom jęczmienia?

— Dałem, panie... Zrobiłem wszystko, co pan kazał...

— Ruszaj z kopyta! Pytasz, od czego zaczniemy? — zwrócił się do żony.— Przedewszystkiem przyniosę ze śpichrza kufry i skrzynki, a ty tymczasem wybieraj odzież oraz rzeczy niezbędne i składaj na jedno miejsce... Ale nie bierz za dużo, bo nie starczy nam pieniędzy na opłacenie frachtu.

Pani Anna aż w ręce klasnęła.

— Zadużo?! Zdaje się, że nigdy nie mieliśmy ich *zadużo*... A co zrobimy z resztą?

— Resztę... podarujemy sąsiadom! — odrzekł Stefan po chwili namysłu.

Chciała zrobić uwagę, ale był już za drzwiami i ze zgrzytem obracał klucz w zamku maluchnej śpiżarki; pocieszyła

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Ze spraw Tow. Zach. Sztuk Pięknych.

Po każdym większym ślubie, pogrzebie lub bankiecie gazety wymieniają garść obecnych: „byli pan A, B, C, D...,“ kończąc steoretypowem *et cetera*. Tym *et cetera* są objęci wszyscy niczem niezasługujący na wyróżnienie. Pustki dawniejszych zebrań dorocznych Tow. Zachęty ratowali przeważnie panowie Etcetera, rekrutujący się z pośród tych sumiennych, którzy z zasady nie opuszczają żadnego posiedzenia Merkurego, Tow. Opieki nad zwierzętami lub Tow. Zachęty Sztuk Pięk., którzy eskortują również gorliwie „ciekawsze“ pogrzeby itp. Takich panów przychodziło zwykle kilkudziesięciu, co razem z garścią ludzi rzeczywiście interesujących się sztuką stanowiło około 60 osób obecnych. Jak na Towarzystwo, liczące parę tysięcy członków, to niezbyt wiele.

Panów Etcetera wogóle cenią wysoko wszelkie komitety, gdyż są oni zawsze „gouvernementaux.“ Spraw instytucyi mogą nie znać, dyskusyi nie rozumieć, ale uważają się wszędzie i zawsze za komitet *de Salut public*, oczekując tylko na hasło zarządu, czy głosować „tak“ lub „nie.“

W ostatnich jednak latach dużo się zmieniło. Dziś komitet nie czeka już na panów Etceterów, lecz ich ściąga forsowanie i jak najliczniej, ale za to i artyści zaczęli okazywać większe zainteresowanie sprawami Zachęty, wskutek czego lista obecnych wykazała na ostatniem zebraniu 168 osób. Artyści przyszli do przekonania, że Tow. Zachęty powinno i może służyć Sztuce i kształcić masy, a nie wlec się jak dotychczas na szarym końcu, wyprzedzone przez opinię artystów, wykształceńszego ogółu a nawet usiłowania prywatnych handlarzy obrazów. Wprawdzie artyści i dawniej mieli te same przekonania, lecz dopiero od roku uwierzyli, że mają dość siły i solidarności do ich przeprowadzenia.

Lecz jak zamiary w czyn zamienić?

Na pozór zdawało się to prostem. Każdy komitet, który naprawdę chce reprezentować sztukę i mieć powagę w tych kwestyach powinien się oprzeć na większości artystów. Wówczas dozna współdziałania z ich strony, a artyści znajdą w nim przedstawiciela, do którego będą mogli mieć zaufanie.

Zdawałoby się, że idąc tą drogą artyści powinni kierować wyborami do komitetu Tow. Zach., a ogół członków rzeczywistych nie zrzekając się swej niezależności być ciekawym zdania tych kompetentnych ekspertów i niem w głosowaniu powodować się musi.

Dziś jednak daleko jest jeszcze do tego prostego i logicznego rozwiązania sprawy.

Komitet, ustępujący co rok, bez ceremonii proponuje wybór siebie samego i robi wszystko, żeby jego lista przeszła głosami *nieartystów*, a swe pełnomocnictwo odnawia drogą całkiem automatycznego głosowania różnych Etceterów, po każdym roku działalności przed nikim sprawy nie zdając. Wszystko by jednak się zmieniło z chwilą ujęcia steru wyborów przez artystów. Artyści wiedzieliby dobrze, czy danego kandydata warto powtórnie wybierać. Komitet nie będąc absolutnym i dożywotnim, stałby się naprawdę wybieralnym, jak tego chce ustawa. Dziś wszelkiemi siłami stara się od tej niemiłej mu kontroli wywinąć i organizacyę artystyczną usiłuje rozbić, choć sprawę budzenia zawodowej solidarności i zrozumienia wspólnych śród artystów interesów należałoby uważać za nierównie piękniejszą i ważniejszą, niż zadowolenie ambicyj osobistych.

Śród artystów rozwija się szybko świadomość własnych praw i obowiązków względem Sztuki. Liczba ich w Warszawie stale się zwiększa, więc przybywają im wciąż nowe siły. Popularny typ artysty o długich włosach, brudnych paznokciach i kapeluszu z wielkiem rodem utrzymuje się już tylko w operetce; w życiu zastąpił go inny, którego talent nic na tem nie ucierpiał, że idzie w parze z kulturalnością, wykształceniem i poczuwaniem się do obowiązków ogólno-społecznych.

Twórcy dzieł sztuki są jednocześnie wybitnemi jednostkami na polu poezyi, literatury, krytyki, rozwoju kultury estecznej itp. Dość wymienić Witkiewicza, Wyspiańskiego i innych.

Zdanie takich ludzi ma swoją wartość i liczyć się z niem powinien każdy komitet Zachęty, który dziś stara się artystów trzymać jak najdalej od wpływu na sprawy Towarzystwa.

W roku bieżącym na ostatniem zebraniu w Tow. Zachęty, w dniu 3 kwietnia, między innemi sprawami do załatwienia miano uzyskać przyjęcie rachunków z gmachu wystawionego, który, mówiąc nawiasem, kosztował blizko 250,000 rb. Zdawało się, że była to chwila odpowiednia dla zastanowienia się, czy komitet wydał tę wielką sumę z pożytkiem dla Sztuki i Towarzystwa. Mimo to odezwały się głosy, że dyskusya jest bezcelową, „*bo gmach już stoi.*“ Dopóki budowa nie była skończona, nie pozwolono jej krytykować, a gdy teraz gmach stanął, wszelka krytyka ma być bezcelową.

Mimo to dyskusya doszła do skutku, była dość długą i wielce charakterystyczną. Przemawiało kilku artystów, wykazując zgodnie wielkie braki i błędy. Nie było ani jednego fachowca, któryby tym zarzutom zaprzeczył. Komitet zaś miał tylko poparcie nie-artystów tj. ludzi, którzy nawet pośrednio nie są wstanie zrozumieć tych potrzeb i warunków, jakim powinien odpowiadać taki gmach specyalny jak „Zachęty.“

Dziwnym był ten widok z jednej strony ludzi „trzeźwych,“ „statecznych.“ — różnych dyrektorów banków, obywateli ziemskich, prawników, mówiących frazesami, posługujących się w braku argumentu komplimentowaniem komitetu, a z drugiej artystów, tego żywiołu kapryśnego, fantastycznego a jednak opierającego swe dowodzenia na podstawie cyfr i faktów i sprowadzającego dyskusyę na teren rzeczowy.

Według nich gmach Zachęty nie stanął dlatego, aby przyozdobić ulicę Mazowiecką, lecz odpowiedzieć przedewszystkiem potrzebom sztuki. Pięknu zewnętrznemu jak w tym gmachu, bardzo zresztą wątpliwemu, nie należało poświęcać warunku tak niezbędnego dla wystawy artystycznej, jakim jest dobre światło w salach. Bez niego niewiele są warte te gzemsiki, marmurki, balustradki itp. rzeczy, w które wsiąkło ćwierć miliona!

Tow. rozporządzało tylko 100,000, więc reszta tj. 150,000 musiało utworzyć dług, który strasznie zaciąży na instytucyi i na długie lata może sparaliżować jej działalność w najważniejszym kierunku, tj. w kierunku poparcia Sztuki. Krakowskie Tow. Przyjaciół Szt. Pięknych postawiło gmach, mogący w dobrych warunkach pomieścić

---

się więc jedynie giestem wymownym i nucąc piosenkę, zaczęła zbierać rzeczy.

Pracowali pilnie, bez wytchnienia, otoczeni kurzawą starych rupieci. Oleś, uszczęśliwiony widokiem tylu nieznanych przedmiotów, leżących na ziemi, zachowywał się nadspodziewanie cicho, zato co chwila niósł coś do ust lub wlókł do kąta.

Wieczór zapadał. Z otwartych drzwi powiało chłodem. Złoty, słoneczny blask na dalekich modrzewiowych lasach zamienił się w blask miedziany. Zmrok w chacie nasiąkł jego czerwienią. Anna rozpaliła ogień na kominku i nastawiła wieczerzę. Z dziwną tkliwością dotykała prostych i grubych naczyń, które tak długo dzieliły z nimi dolę i niedolę. Stefan naciągał mocno sznury dokoła skrzyń.

— Betinget! już wróciłeś! — krzyknął, spostrzegłszy na popielatej ziemi podwórka wydłużony, popielaty cień człowieka.

— To ja! — odpowiedział wysoki, barczysty przybysz, pochylając się w niskiem wejściu. Zdjął z łysawej głowy wytartą, futrzaną czapkę, a dubeltówkę, którą miał w ręku, powiesił na kołku.

— Poczciwy jesteś, żeś przyszedł — witali go, ściskając mocno za rękę.— Jedziemy... zaraz... za chwilę...

— A wiem, pisałeś, ale czemu tak nagle?

— Musimy się spieszyć. Parostatek odchodzi jutro wieczorem. Mamy więc przebyć sto wiorst w dwadzieścia cztery godzin. Jeżeli nie zdążymy, będę musiał czekać drogi zimowej, gdyż nie mogę żony i dziecka przewozić na jukach. Zresztą na podróż parostatkiem pieniędzy nam starczy, ale na podróż końmi — żadną miarą...

— Gdybyście się wstrzymali z wyjazdem, możeby wam się udało sprzedać chatę, spieniężyć coś z gospodarstwa, możeby kto nabył podorane grunta!..

Stefan roześmiał się.

— Grunta wracają do gminy. A co do sprzedaży, to wiesz dobrze, że skoro sąsiedzi dowiedzą się, iż niedługo wyjeżdżam, nikt nic nie kupi. Oni już teraz uważają wszystko za swoją własność. „Żyłeś wśród nas — powiadają—korzystałeś z naszej ziemi i opieki, powinieneś nas uszanować.“ Onegdaj kazałem rozebrać kawałek własnego płotu na ogień, to mi robili wymówki, że psuję ogrodzenie pola. Przyznać należy, że mają do pewnego stopnia racyę. Podstawą własności jest jedynie istotne władanie i istotna potrzeba. Nic nie będę sprzedawał. Część podaruję sąsiadom, a co lepsze wybiorę i oddam Betingetowi. Pracował razem ze mną lat kilka. Przyjemnie pomyśleć, że przez to chłopak może się dźwignie i zostanie samodzielnym gospodarzem... Tu tak mało potrzeba do tego...

— Hm! Co słyszę? Popieramy stan trzeci z ujmą czwartego? Prędko jadą... powracający! — żartował gość, śledząc z zaciekawieniem manewry Olesia, który kręcił się koło komina z widocznym zamiarem pomieszania kijem w gotującej się zupie.

Pani Anna wzięła syna na rękę.

— Nie! — ciągnął poważnie Stefan. — Ale chciałbym zostawić tu właśnie, gdziem tyle lat strawił, widomy znak życzliwości... Zrobić coś dobrego komuś, kto czuje, płacze i śmieje się.., A że dlatego wybrałem mego robotnika, to rzecz zrozumiała. Społeczeństwo rzecz szanowna, ale... dokuczyły mi abstrakcye... strasznie mi dokuczyły! Nigdy nie czułem tak nużącej tęsknoty do realnych czynów, jak w tym roku ostatnim... Rozumie się, że nie mówię tego z powodu podarunku Betingetowi, lecz ot, tak sobie... wogóle!—szybko mówił Stefan.

— Rozumiem cię. Marudzę też, ot tak sobie... Chciałem usłyszeć twe gorące, namiętne dowodzenia, twój ostatni spór... Poprostu nie mogę pogodzić się z myślą, że... za parę godzin... już was tu... nie będzie... Nie będzie nikogo... Tyle lat...

Głos mu się zlekka załamał. Stefan zaprzestał naciągać sznur wkoło skrzyni i spojrzał bystro na mówiącego.

— Daruj, Karolu! — rzekł serdecznie. —

prawie tyle obrazów co warszawski, a kosztujący nierównie mniej.

Kilka lat temu nie mieliśmy wprawdzie gmachu, ale mieliśmy plac i sto tysięcy gotówki, z której mogliśmy budować tak, jakbyśmy tylko chcieli. Dziś jest gmach, ale mamy 150,000 rb. długu! Czy przynajmniej gmach ten jest dobry i odpowiedni? Tak mówił art. mal. p. Niewiadomski i poparł go art. mal. p. Władysław Jasieński. Komitet tymczasem serdecznie się bawił i uśmiechał, suggestyonując swych Etceterów lub nieświadomy rzeczy ogół.

Na pytanie, czy gmach jest dobry, odpowiedział art. mal. p. Austen, który jako dawniejszy członek komitetu i gospodarz wystawy mógł przytoczyć argumenty rzeczowe, niepodlegające zaprzeczeniu. Na ośm sal przeznaczonych na wystawę tylko dwie mają dobre światło górne, pozostałych zaś sześć w znacznym stopniu nie odpowiada przeznaczeniu. Jak nierozważnie projektowaną była budowa, mogą dowieść następujące szczegóły: urządzono kosztowną windę, przeznaczoną do przeprowadzania wielkich obrazów z parteru do sal wystawy, lecz okazała się ona nieużyteczną i jest nieczynną. Rzeźbie też nie dzieje się lepiej. Brama od ul. Królewskiej, przez którą powinny wjeżdżać skrzynie z obrazami i rzeźbami, jest wprost śmiesznie mała, każdy dom w Warszawie ma bramę kilkakrotnie większą. To też widzieliśmy niedawno rzeźbę niezbyt wielką, rozpakowywaną na ulicy śród gawiedzi i narażoną na możliwą niepogodę. Gdyby duże rzeźby mogły się nawet przedostać przez ową bramę, to następnie nie miałyby którędy przejść do sali wystawy, bo z podwórka wewnętrznego prowadzą tylko wązkie i niewygodne schodki.

Komitet słuchał tego i znów uśmiechem suggestyonował swych panów Etceterów, a w odpowiedzi, nie mogąc zaprzeczyć słuszności zarzutów, bronił się tem, że za sześć miesięcy przybędzie nowe skrzydło z salami o doskonałem świetle, więc ten szereg złych sal przeznaczony będzie na zbiory!

A więc komitet zgodnie z artystami uznaje, że te sześć sal z bocznem światłem nie są odpowiednie dla umieszczenia różnych obstalunkowych portretów, polowanek, martwych natur lub gipsów artystów A., B., C., D... ale są aż nadto dobre dla zbiorów mających reprezentować Sztukę Polską, a złożonych z obrazów Matejki, Simlera, Brandta, Chełmońskiego i innych tym podobnych staruszków wyszłych z mody?!

Jakież były ostateczne rezultaty zebrania?

I duże i małe, lista bowiem kandydatów artystów nie przeszła, ale raz jeszcze przekonali się oni, że zostali zwyciężeni zaledwie kilkoma głosami i... taktyką.

Trzech kandydatów komitetu, których artyści nie chcieli popierać, otrzymało zaledwie po kilka głosów po nad niezbędne *minimum*; czy przyjemnym jest taki wybór do instytucyi artystycznej, o to trzebaby spytać samych wybranych.

Ta niechęć komitetu do oparcia się na większości artystycznej, to agitowanie śród ogółu członków rzeczywistych przeciw artystom, których działalność przedstawia się jako szkodliwą i jako „robienie rewolucyi“ — musi z czasem siłą rzeczy ustać, gdy z jednej strony artyści zdobędą się na jeszcze większą solidarność, a ogół uwierzy, że właśnie oni są najkompetentniejsi w tych sprawach i zamiast się sztucznie na nich jeżyć, zapragnie zasięgnąć od nich informacyj i wskazówek. Dwa ostatnie zebrania wyborcze pokazały, że artyści rozumieją swe prawa i ich się nie zrzekną, że nikomu wojny nie wypowiedzą, ale też dla niczyich arbitralnych zakusów ze swych praw nie skwitują. W tym roku chodziło im głównie o stwierdzenie swego prawa, siły i solidarności przy wyborach bez wprowadzania ważniejszych zmian osobistych w komitecie. Cel ten w zupełności prawie osiągnięto. Zresztą poczekamy do przyszłych wyborów.

Obecny.

Listy z Francyi.

Paryż, 3 kwietnia.

Zniesienie nieupoważnionych zakonów męzkich.—Odnośne dane statystyczne. — Nowy organ codzienny antiklerykalny *L'action*. — Pojawienie się pamfletowego tygodnika *Le vieux Cordelier*. — Ostatnia książka U. Gohier'a „L'histoire d'une trahison.“ — Nowe pismo satyryczne *Le Canard sauvage*.

Po upływie stu dziesięciu lat prawo, dotyczące zniesienia zakonów we Francyi, uchwalone w r. 1792, ma być nareszcie w czyn wprowadzone. Izba francuska w d. 18 z. m., po wysłuchaniu wyczerpującego referatu deputowanego Rabier i nader ciekawej nad nim dyskusyi ryczałtowo odrzuciła żądania nieupoważnionych dotychczas kongregacyj co do ich dalszego pobytu we Francyi. Z pomiędzy 54 zakonów męzkich, skazanych na rozwiązanie i zlikwidowanie majątków — 25 zajmuje się przeważnie wychowaniem młodzieży i posiada we Francyi aż 1,690 niższych i średnich zakładów naukowych z 12,000 zakonników; 28 zakonów, mających przeszło 3,000 zakonników, oddaje się kaznodziejstwu, a tem samem zwalczaniu zarówno rządów republikańskich, jak i wszelkich nowożytnych prądów ideowych; wreszcie zakon Kartuzów, zajmujący się różnemi operacyami przemysłowo-handlowemi i posiadający kilkanaście fabryk przeróżnych spirytualij.

Wszystkie te zakony, które najpóźniej z końcem roku szkolnego będą musiały opuścić Francyę, nie poprzestając na swem głównem przeznaczeniu, prowadziły jednocześnie różne inne przedsiebiorstwa, o ile te były popłatnemi. Tak np. zakon Frères de Marie, mający około 600 zakładów naukowych, nie gardził również wyrobem różnych napitków, jako leków na wszelkie przypadłości. Inne zakony ciągnęły pokaźne dochody z utrzymywania oberż i hoteli, lub z wyrobu i sprzedaży najrozmaitszych przedmiotów użytku powszechnego, czem przyczyniały się podobnie jak więzienia do strasznego obniżenia płacy robotniczej.

Ryczałtowe odrzucenie żądań zakonów, domagających się uprawomocnienia, wywołało naturalnie lament i oburzenie w prasie reakcyjnej, jak również wśród warstw wrogo usposobionych względem głębszych reform i uświadomienia ludu. Za przykładem Bretanii kler i panowie nawołują bezustannie do podnoszenia sum złożonych w rządowych kasach oszczędności i bankach a lokowania ich za granicą oraz do zaniechania wszelkich obstalunków i zakupów w fabrykach i magazynach francuskich, aby wywołać zastój w handlu i przemyśle, a tem samem przeciągnąć na swą stronę tę właśnie sferę.

Zdawałoby się, że pogwałcono jakieś prawa, dopuszczono się niesprawiedliwości, dokonano zamachu na wolność, a tymczasem parlament francuski zapragnął być jedynie stróżem prawa przed wiekiem zapadłego i nie chciał okazać się reakcyjniejszym od Napoleonów, Bourbonów i Orlea-

---

Ale ja ani chwili nie wątpię, że się spotkamy na południu...

— Nie wiem. Ta straszna czczość życia i pustka, którą chwilami nieledwie fizycznie odczuwam, wydaje mi się nie do wytrzymania... Jest gorszą od mogiły! Gdy nadchodzi, ogarnia mię paniczny przestrach... Przedtem biegłem do was... Dokąd z nią teraz ucieknę?..

Anna z dzieckiem przysiadła obok niego na ławie.

— Doprawdy, podli jesteśmy, przyjacielu — podli, bo tacy strasznie szczęśliwi... Gdybyś choć mógł nas skrzywdzić...

— Będziemy pisywali — mówił Stefan, siadając z drugiej strony, ale wnet zerwał się i spojrzał na zegarek. — Czas, czas... Anno, dawaj kolacyę i ubieraj dziecko... Hej, Betinget, zaprzęgaj!

W godzinę potem ładowny wóz toczył się wartko po szerokiej, ubitej drodze, stwardniałej od letniej spiekoty. Koła lekko obracały się na suto posmarowanych osiach żelaznych, konie, wstrzymywane przez Betingeta, biegły równo i raźno. Rudy kurz wzlatał kłębami z pod kół i kopyt i rozwłóczył się po gościńcu. Na wozie siedziała rodzina Karskich i Karol z dubeltówką na plecach.

Milczeli.

Milczały również po bokach nieprzejrzane modrzewiowe lasy, nagrzane za dnia, obecnie jakby omdlałe od mocnych smolnych zapachów, z zielenią poblakłą, poszarzałą i nasiąkłe różowym zmrokiem. Milczały śródleśne trawiaste doliny i lśniące się wśród nich jeziora pod cieniuchnym muślinem nocnego oparu. Milczały mijane chaty, z ich kominów nie snuły się dymy, w oknach nie błyskało światło. Spały stada, układłszy się pstremi gromadkami na osędziałych od rosy pastwiskach. Usnął wiatr wśród zwichrzonych przez się za dnia badyli, kwiatów i traw. Umilkł pogwar fal. Nie szemrały liście, nie szumiały niwy... Na wszystkiem leżała pieczęć majestatycznego spokoju i... obojętności. Jakby cały ten kraj chciał dobitnie raz jeszcze powtórzyć odjeżdżającym, że nikt tutaj po nich nie zatęskni, nawet nie westchnie, chyba ten ich towarzysz bolejący nad tem głównie, że musi tu pozostać...

A nad wszystkiem płynęła górą spokojnie biała, bezgwiezdna, letnia noc podbiegunowa, rozpuściwszy szeroko przejrzysty swój welon.

— Poco ja jadę? przecie... nie dojadę! — zerwał się wreszcie Karol. — Stań, Betinget! Żegnajcie!..

Uściskali się krótko, mocno, mężnie, poczem wóz zaturkotał dalej, a myśliwy zawrócił na boczną drożynę i utonął w zaroślach. Gdy chwilę potem Anna obejrzała się za siebie, już nikogo nie było na drodze.

— Ach, jestem niegodziwa egoistka, ale... nie mogę, nie mogę teraz się smucić! — rzekła kobieta, opierając głowę na ramieniu męża. — W duszy gra, śpiewa... jakiś hymn potężny, jakiś tryumf!.. Gdyby nie wstyd i nie obawa, że obudzę Olesia, krzyczałabym w głos, piałabym... Do życia, do ludzi!.. Nareszcie, nareszcie!.. Jakieś zorze wstają po długiej nocy... I smutno mi, i wesoło i jakoś straszno... ale słodko, ale upajająco... Serce mi drży w takt warkotu kół i konie wydają mi się naszemi skrzydłami...

— Betinget, puść konie, za mocno je zdzierasz. Niech cokolwiek pobiegną! — rzekł Karski.

— Obżarte są, zapalą się odrazu...

— Puść, puść, nic im nie będzie, dalej znowu wstrzymasz!

Droga staczała się po łagodnej pochyłości. Można było nie obawiać się ani wybojów, ani korzeni, gdyż las odstąpił daleko od przydroża, otwierając rozległy widok na spuszczające się coraz bledszemi smugami ku rzece zielone łąki i sinawe góry, zamykające widnokrąg.

(C. d. n.)

nów, którzy nie ośmielili się nigdy znieść go i mniej, być może, niż dotychczasowe rządy republikańskie, tolerowali nadużycia i bezprawia zakonników.

Wszak Izba dzisiejsza pozostawiła jeszcze pięć kongregacyj, uznanych przed dziesiątkami lat za upoważnione przez radę stanu, wszak pozwala zakonom likwidować swobodnie nieruchomości i przenosić bogactwa za granicę, wszak uchwaliła już na rok bieżący milionowy budżet wyznań i nie postawiła na porządku dziennym zniesienia konkordatu, choć, jak słusznie zauważył Combes, oddawna stał się dyskordatem przez ciągłe naruszanie i gwałcenie umowy ze strony duchowieństwa.

Nigdy w istocie zakony we Francyi nie były tak rozgałęzione i tak bogate, jak w czasach dzisiejszych. W r. 1789 ogólna ilość zakonników wynosiła 60,000, gdy tymczasem w r. 1900 doszła do 200,000. Nawet po rozwiązaniu wszystkich nieuprawnionych kongregacyj i ich przypuszczalnej emigracyi pozostanie dziś we Francyi więcej, niż przed stu laty, gdyż 25,000 zakonników i 50,000 zakonnic.

Posiadłości ich i bogactwa wzrastają również niepomiernie pomimo republikańskich jakoby wolnomyślnych rządów. W r. 1880 nieruchomości klasztorne zajmowały we Francyi 405 kilometrów kwadratowych i ocenione były na 712,538,980 fr., w 1900 roku zaś żajmowały już 488 kilom. kwadr. i oceniono je na 1,071,775,260 fr. Ilość samych kongregacyj i różnych stowarzyszeń religijnych w ciągu ostatnich lat dwudziestu wzrosła z 1,265 do 1,473.

Dziwnem i na pozór niepojętem wydawać się może niejednemu, że przez czas tak długi nie starano się we Francyi położyć tamy wzrastającej potędze kleru, nie zastosowano istniejących od dawna praw, nie wzbroniono mu przywłaszczać sobie coraz nowych przywilejów kosztem wolności i szczęścia innych ludzi. Po bliższem jednak zastanowieniu widzimy, że klerykalizm był i jest najsilniejszą podwaliną dzisiejszego ustroju społecznego, a jego obrońcy to zwykli wrogowie wszelkiej myśli wolnej, wobec czego łatwo pojąć, dlaczego względnie tak mało deputowanych i senatorów — synów burżuazyi francuskiej — walczy otwarcie z klerykalizmem, dlaczego dopiero teraz, w chwili rozbudzenia uśpionych sił, parlament musi energicznie wystąpić z nim do walki. Wielkie też nadzieje pokładają uświadomieni Francuzi w obecnem ministeryum Combes'a, który pod naciskiem opinii publicznej zdecyduje się chyba wystąpić z projektem zniesienia upoważnionych dawniej kongregacyj, konkordatu, ambasady przy Watykanie i budżetu wyznań.

Trzeba bowiem przyznać, że oświeceńsza część ludu francuskiego coraz lepiej pojmuje konieczność walki nietylko z klerykalizmem, ale z wszelkimi przesądami i dogmatami, że nie idzie ona bynajmniej śladem Niemców, którzy, uznając je za sprawy natury prywatnej, nie uważają za potrzebne zwalczania ich.

W latach ostatnich wielkie w tym względzie zasługi położył tygodnik *La Raison*, rozchodzący się w 50,000 egzemplarzy. Od kilku dni zaś wstąpił w szeregi bojowe nowy dziennik, *L'Action*, pozostający również, jak *Raison*, pod kierunkiem znanych literatów, Charbonnel'a i Henryka Bérangera. Potrafili oni zgrupować koło siebie cały zastęp wybitnych publicystów rozmaitych odcieni politycznych, tak by nowy organ nie przedstawiał jakiejś partyi parlamentarnej lub sekty politycznej, i nie na zamożnych jednostkach mógł się oprzeć, lecz na masie wolnomyślących. W istocie tacy się znaleźli, a biorąc udziały 100-frankowe lub zapisując się na prenumeratorów, zapewnili odrazu niezależny żywot pismu. „Przy pomocy ludzi wolnych— jak powiadają w naczelnym artykule — organ nasz będzie prowadzić ciężką a zbawienną walkę przeciw wszelkim fałszywym pasterzom despotom, jak również przeciw wszystkim stadom niewolników. Szczególniej zaś będzie demaskował i potępiał odwiecznego wroga wszelkiej prawdy i sprawiedliwości — l'Eglise.“ Dewizą jego będzie, jak głosi afisz Josot'a, rozlepiony w całej Francyi: „A bas les calottes,“ a użyta w niej wbrew zwyczajowi liczba mnoga ma oznaczać, że nietylko są wrogami księżej „calotte,“ ale i innych kast również w społeczeństwie uprzywilejowanych.

Od pierwszych numerów, w których spotkać już można nazwiska tak znane, jak Clémenceau, Buisson, Sembat, Viviani, Tailhade, widać już, że nie będzie to organ pewnej kliki, broniący jej programu lub torujący drogę naczelnym redaktorom do przyszłych wyborów. Ogromny brak było podobnego organu, to też publiczność prędko rozchwytała cały nakład pierwszego numeru, a dziś muszą już bić 100,000 egzemplarzy.

Jeden z główniejszych publicystów, dawny współpracownik *L'Aurore*, a obecnie *La Raison* i *L'Action*, Urbain Gohier, walczący gorąco piórem i słowem w czasie sprawy Dreyfusa, zaczął w ubiegłym miesiącu wespół z Guinaudeau wydawać w formie małej broszurki tygodnik p. t. *Le vieux Cordelier*. Nazwy zapożyczono od pisemka, którego ostatni numer 7-y pojawił się d. 3 lutego 1794 r. pod redakcyą Kamila Desmoulins'a; Gohier przedsiewziął niejako drugą seryę tego świstka, w którym, stosownie do zapowiedzi, chłoszcze niemiłosiernie różne osobistości polityczne, obnażając ich egoizm, nicość i prywatę, szydząc z faryzeuszów politycznych i karyerowiczów społecznych. Naturalnie w zapędzie pisarskim padają nieraz strzały niesłuszne, cięcia bolesne i niesprawiedliwe, lecz wydawnictwo takie przyucza do krytycznego roztrząsania faktów i oceniania ludzi nie wedle frazesów, lecz czynów, rozbudza nieufność do ustalonych wielkości i bożyszcz, przyzwyczaja do rachowania na własne siły — związki zawodowe, kooperatywy i giełdy pracy.

Większy jednak rozgłos, niż tygodnik ów, sprawiło pojawienie się przed kilkunastu dniami książki Gohier'a p. t. *L'Histoire d'une trahison*, w której niezrównany pamflecista ciętym i zjadliwym stylem odmalował dwóch rzekomych obrońców klasy pracującej, szeroko ostatnimi czasy wsławionych nietylko w prasie francuskiej, lecz i zagranicznej—Milleranda i Jaurès'a.

Doskonałe zgrupowanie faktów, dokonane przez autora, pozwala wyciągnąć smutny wniosek, jakiem szalbierstwem posługują się ludzie, ubiegający się o znaczenie i popularność — jak hasła postępowe, humanitarne, wzniosłe rzucać potrafią zgłodniałemu a wiecznie łatwowiernemu tłumowi, którego zawsze jeszcze można ukołysać, uśpić frazesem, obietnicą, której się z góry nie myśli wykonać. Postać Millerada zwłaszcza występuje w całej wyrazistości, zręczność jego i przebiegłość w układaniu planów i ich przeprowadzaniu, w całej tej podziemnej robocie sprytnego, chciwego władzy polityka, który nie daje się nigdy unieść uczuciu, ani też chęci stosowania w praktyce wygłoszonych zasad. Sylwetka Jaurès'a na podstawie odpowiednio zestawionych zdań jego, wypowiedzianych słowem i piórem, daje nam jasne wyobrażenie o arkanach dyalektyki, użytej do zamydlenia ludziom oczu. Frazeologia słynnego mówcy ma na celu zawsze nagięcie zasad do interesu chwili, przystosowania wniosków do życzeń audytorym. Stąd ciągłe sprzeczności i wieczyste *distinguo*; tenże sam fakt podlega innej ocenie przez A., innej, gdy przez B.; wczoraj w płomiennych słowach należało zalecać pewną taktykę, dziś pod pretekstem dokonanej ewolucyi wypada nawoływać do przeciwnej.

Cały ten jezuityzm, polegający na sztuce dwuznaczników, subtelnych rozróżnień, zastrzeżeń, omówień nie był nigdy przez żadnych kazuistów doprowadzony do takiej doskonałości, jak przez ludzi zgrupowanych dokoła Jaurès'a i Millerand'a.

A jeśli nadzwyczajnym wypadkiem na posiedzeniach partyi jakiś śmiałek ważył się wykazać sprzeczność pomiędzy dawną teoryą a obecną praktyką, odpowiadano mu zawsze: Ależ Millerand stoi chwilowo po za partyą, nie może więc podlegać kontroli czy krytyce!

W ciągu całego roku pomiędzy jednym kongresem partyjnym a drugim nie wolno występować z krytyką jakiegoś postępku, szefowie bowiem zamykają usta naiwnemu oświadczeniem, że należy czekać w tym względzie decyzyi kongresu. Zdawałoby się, że w tym okresie czasu nie należy wcale nawet myśleć, bo i nacóżby się to zdało, skoro kongres może nakazać inne zapatrywanie. Podczas kongresu zaś, gdy szumnie brzmiące wnioski jednogłośnie zostaną uznane, to pomimo tego ci, co stoją u głównego ołtarza, mogą postępować niezgodnie z owemi rezolucyami, mając na swe tłomaczenie argument, że nastrój i potrzeba chwili wymagały od nich zmiany taktyki. W taki sposób przedstawiciele ci w ciągu trzech lat ubiegłych głosowali w Izbie zawsze przeciw wszystkiemu, co było postawione w ich programie politycznym.

Jaurès jest też celem pocisków nowego pisma satyrycznego *Le Canard Sauvage*, którego pojawiły się dwa numery. Zamierza ono dotknąć swem żądłem wszelkich objawów życia politycznego, społecznego i artystycznego, a skupiło takich mistrzów pióra i ołówka, jak Anatol France, Mirbeau, Fénéon, Franc-Nohain, Willette, Hermann-Paul, Steinlen, Besnard, Carrière, Cappiello, Faivre itd.

Dr. Józef Zieliński.

Postępy społeczne we Włoszech.

Gdy uprzytomnimy sobie ostatnie dziesięciolecie panowania króla Humberta, czasy Crispiego i generała Pelloux, czasy *domicilio coatto* i zaburzeń medyolańskich, to musimy przyznać, że ze wstąpieniem na tron młodego Wiktora Emanuela III, a szczególniej z chwilą powołania gabinetu Zanardelliego i Giolittiego, inny duch powiał w rządzie włoskim. Zmieniło się całe zachowanie względem nowożytnych potrzeb i prądów, wypływających z rozwoju przemysłowego i z demokratyzacyi społeczeństwa: miejsce zupełnej i brutalnej negacyi zajęło spokojne, dość życzliwe i bezstronne badanie rzeczywistych potrzeb i szukanie sposobów ich zaspokojenia na drodze reform kompromisowych. Oczywiście, że cel pozostał ten sam: obrona istniejącego porządku społecznego, istniejącej formy politycznej — młodej monarchii sabaudzkiej, której popularność przez ostatnie lata panowania Humberta I dość poważnie została zachwiana; każdy rząd w każdym kraju taki tylko, nie inny cel musi i może. Ale różnica w środkach jest duża, pomimo wahań i niekonsekwencyj; a różnica taka nie jest bynajmniej obojętna. Wszak dziś we wszystkich krajach wszyscy mężowie stanu i politycy, z wyjątkiem oczywiście skrajnej lewicy, dzielą się ostatecznie na dwie kategorye: takich, którzy chcą obronić formy istniejące za pomocą bezwzględnego oporu nowym prądom, i takich, którzy do tego samego celu zmierzają drogą częściowych, uznanych w każdej danej chwili za konieczne — ustępstw. Granice tego drugiego obozu są bardzo szerokie i obej-

muje on mnóstwo stopniowań, aż do takiego typu polityków robotniczych, jak John Burns albo Fabianie w Anglii, jak p. Aleksander Millerand we Francyi. Z drugiej strony, zaliczony do niego być musi nawet taki austryacki p. Körber, pomimo całej nędzy wewnętrznej swej „polityki socyalnej“ i pomimo zajść w Tryeście... Stanowisko pośrednie na drabinie stopniowań między temi dwoma ostatecznościami zajmuje właśnie obecne ministeryum włoskie, które z tego powodu pod wieloma względami — dobrymi i złymi — przypomina francuskie ministeryum Waldecka-Rousseau.

Nie chcemy tu dawać całkowitego obrazu jego działalności, nie będziemy mówili o projekcie wprowadzenia rozwodu, którego dotychczas prawodawstwo włoskie nie zna, o reformie sądownictwa, którą właśnie teraz parlament na Monte Citorio się zajmuje, itp.; zwrócimy uwagę tylko na parę ważniejszych faktów z dziedziny właściwej reformy społecznej.

Przedewszystkiem istnieje już jeden ważny fakt dokonany na tem polu: prawo o pracy kobiet i dzieci. Rozszerza ono znacznie i ulepsza prawo dotychczasowe z r. 1886, które stosowało się tylko do dzieci i młodzieży, do kobiet zaś nie, i tylko do fabryk z siłą mechaniczną, albo zatrudniających więcej niż dziesięciu robotników, oraz do robót podziemnych w kopalniach. Obecnie zaś prawo ochronne rozciąga się na wszystkie fabryki i warsztaty mniejsze, na roboty kopalniane pod ziemią, a nawet na roboty budowlane. *Minimum* wieku, uprawniającego dzieci do pracy w tych przedsiebiorstwach, podwyższone zostało z 9 na 12 lat, a nawet, o ile idzie o roboty pod ziemią — na 13, o „kopalnie bez mechanicznego urządzenia,“ czyli w pierwszym rzędzie o straszne sycylijskie *solfatary* — na 14; wreszcie minister ma prawo oznaczać nawet lat 15 dla specyalnie niebezpiecznych i niezdrowych gałęzi przemysłu. Dzieci do lat 12 dawniej nie mogły pracować dłużej, niż 8 godzin na dobę; obecnie, gdy w tym wieku wcale nie mają być dopuszczane do pracy, ograniczono czas zajęcia starszych od 12 do 15 lat: młodzież ta, a również i kobiety wszystkie, mogą odtąd pracować najwyżej 11 godzin na dobę, praca nocna jest im zupełnie zakazana. W dalszym ciągu obydwie te kategorye otrzymują rękojmię jednego przynajmniej dnia odpoczynku na tydzień. Położnice przez miesiąc po połogu nie mogą być zatrudniane, lecz nie otrzymują, niestety, żadnej zapomogi, co, jak wiadomo z doświadczenia innych krajów, popycha je zawsze do łamania zakazu, do błagania lekarza o skrócenie terminu; istotnie, prawo pozwala lekarzowi w „wyjątkowych“ wypadkach skracać termin do trzech tygodni. Opieka nad niemowlętami robotnic wyraża się w godnym ze wszech miar uwagi paragrafie prawa, że matkom, karmiącym swe dzieci, fabrykant musi pozwolić oddalać się w tym celu do domu, a każdy fabrykant, zatrudniający 50 robotnic i więcej, musi mieć przy fabryce salę, w którejby się mogło odbywać karmienie dzieci.

Dzień roboczy mężczyzn dorosłych nie został jeszcze ograniczony. Jednakowoż doświadczenie francuskie dowiodło, że jeśli kobiety i dzieci pracują z mężczyznami dorosłymi razem w jednej fabryce, to albo ograniczenie dnia pracy pierwszych staje się fikcyą, albo pociągnąć musi za sobą i ograniczenie dnia roboczego drugich, ponieważ fabrykant potrzebuje wszystkich tych kategoryj, nawzajem się dopełniających, jednocześnie—i dla zaspokojenia tej potrzeby stara się obejść prawo, naznaczając różne godziny początku i końca roboty dla różnych zmian dzieci i kobiet. Jeśli więc tylko inspekcya fabryczna włoska będzie energicznie i sumiennie pełniła swe zadanie, to pewno w niedalekiej przyszłości rząd będzie musiał zabrać się i do ograniczenia dnia pracy mężczyzn dorosłych.

Przewidując też potrzebę dalszego rozwoju prawodawstwa fabrycznego, rząd uzyskał od parlamentu zgodę na założenie specyalnego organu, mającego śledzić rozwój ten w innych krajach, prowadzić ankiety o kwestyach dojrzewających i o stosunkach robotniczych we Włoszech i przygotowywać nowe projekty prawa, mianowicie t. zw. Urząd pracy i przyboczną ministeryalną Radę pracy. Pierwszy—mianuje minister handlu, przemysłu i rolnictwa; drugi — jest w części wybieralny, mianowicie przez senat, izbę poselską, izby handlowe i rolnicze, kasy pomocy wzajemnej i kooperatywy, w części — składa się z przedstawicieli robotników i przemysłowców, tylko nie wybieralnych, jak we Francyi, lecz mianowanych przez ministra.

Wszędzie, jak wiadomo, cały ruch, zmierzający ku reformom społecznym, obejmuje prawie wyłącznie stosunki przemysłowe, próbuje rozstrzygnąć zagadnienia, wynikające ze stosunku wzajemnego w przemyśle, w miastach. Rolnictwo, wieś — prawie nie zajmują „socyal-polityków.“ Inaczej we Włoszech. Oryginalność włoskiego ruchu reformatorskiego polega na tem, że analogiczne kwestye z dziedziny rolnictwa prawie jednocześnie z przemysłowemi narzuciły się opinii publicznej i sferom rządowym. Znany jest silny ruch chłopski, ruch najemników zarówno jak dzierżawców i połowników, w Sycylii przed jakimiś dziesięciu, w północnych i środkowych prowincyach — w ciągu paru ostatnich lat. Wynikiem tego ruchu jest bardzo ciekawy i na uwagę zasługujący projekt ministeryum,mający za przedmiot utworzenie sądów rozjemczych rolniczych, któreby o ile możności zapobiegały strajkom i innym zatargom.

Myśl ta nie jest zupełnie nowa. Już w r. 1886 poseł Cavalieri stawiał podobny wniosek, w 1893 ponowił go Lacava; ale stale im wtedy odpowiadano z ławy ministeryalnej, że na to jeszcze zawcześnie, że poziom umysłowy masy ludności wiejskiej jest za nizki i że za mało jeszcze objawiła ona popędu organizacyjnego. Wypadki lat ostatnich widocznie rząd przekonały, że jest inaczej. Zjazd związków zawodowych, który się odbył w r. 1901 w Reggio Emilia, uchwalił rezolucyę, energicznie domagającą się rolniczych sądów rozjemczych w celu rozstrzygania sporów, wypływających z interpretacyi umów najemnych i dzierżawnych, rolniczy zjazd w Ferrarze postawił takie samo żądanie, reprezentacya prowincyi Mantuańskiej poparła je w adresie do rządu, powołując się na konieczność zapobiegania coraz liczniejszym i większym strajkom rolnym, wogóle, posypały się uchwały i adresy ze wszystkich stron. Rząd w końcu uczynił zadość opinii publicznej i zażądał od parlamentu upoważnienia do zakładania rolniczych sądów rozjemczych wszędzie, gdzie reprezentacye gminne wypowiedzą się za taką instytucyą.

Trudność przedstawiało należyte określenie stron, którym wypadało dać reprezentacyę. W przemyśle są one dane przez sam układ stosunków: z jednej strony przedsiebiorcy, z drugiej — robotnicy. W rolnictwie wszędzie podział na klasy nie jest tak prosty. W projekcie posła Lacavy z r. 1893 była też mowa o dwóch tylko grupach: do jednej zaliczeni byli wszyscy ci, co osobiście uprawiają ziemię, a więc zarówno najemnicy, jak drobni dzierżawcy, połownicy i koloniści, do drugiej — ci, co ciągną z niej dochody bez osobistej, fizycznej pracy na roli. Obecnie uznano taki podział za nieodpowiedni, a za konieczne — rozróżnianie trzech grup ludności rolniczej. Odpowiednio do tego sądy rozjemcze dzielić się będą na dwie sekcye: w pierwszej zasiadać będą w równej liczbie przedstawiciele wybieralni właścicieli ziemskich z jednej strony, a dzierżawców, większych czy mniejszych, ale tych, którzy dzierżawią wprost od właścicieli — z drugiej strony; sekcya ta zajmować się będzie wyłącznie zatargami, wynikającymi z kontraktu dzierżawnego; druga sekcya, kompetentna dla zatargów z kontraktów najemnych, składać się ma z dwóch przedstawicieli, wybranych z pomiędzy robotników rolnych, bez względu na to, czy płatni są w pieniądzach, czy w naturze, z jednego przedstawiciela właścicieli i jednego — dzierżawców. Prezes mianowany jest przez rząd i prezyduje każdej z dwóch sekcyj.

Prawo określa dokładnie w § 9 podział powyższy na trzy grupy, jak następuje: do pierwszej należą wszyscy właściciele i posiadacze gruntów, mających najmniej 3 hektary (około $1^1/_2$ morgi!); do drugiej — dzierżawcy, koloniści, połownicy — oile nie żyją do żniw z zaliczek posiadaczy oraz o ile wchodzą do gospodarstwa z własnem bydłem, nasieniem lub kapitałem w wysokości najmniej 1,500 lirów; do trzeciej — robotnicy, płatni czy to od dnia czy rocznie, czy w pieniądzach, czy w naturze, tak stali jak czasowi, oraz ci, posiadacze, dzierżawcy i połownicy, którzy zbyt są biedni, aby do dwóch pierwszych kategoryj zaliczeni być mogli. Aby być wybieralnym, trzeba umieć czytać i pisać i od roku mieszkać w okręgu.

Sądy rolnicze mają być obarczone podwójnem zadaniem: z jednej strony sądzić wszystkie sprawy, których wartość nie przewyższa 500 f.; z drugiej strony — starać się o pojednanie stron we wszystkich zatargach, tu już — bez względu na wysokość sum, o które idzie. W tej drugiej części swego zadania sądy nie mają już żadnej władzy przymuszania; strony mogą przyjmować ich wyroki, lub nie, zupełnie więc zapobiegać strajkom, jak podobne sądy w Nowej Zelandyi lub Australii Zachodniej, nie mogą. We Włoszech, zarówno jak we Francyi, obie strony nie życzyłyby sobie tego. Jednakowoż i takie sądy polubowne mają spore znaczenie: sprawa się przed nimi wyjaśnia i przygotowuje się wyrok opinii publicznej, który przecież nie pozostaje bez wpływu na stronę, w danym wypadku winną lub niesprawiedliwą.

Postępowość ministeryum Zanardelli'ego i Giolitti'ego i zrozumienie przez nich potrzeb życia współczesnego w tem się jeszcze objawia, że wbrew poprzednikom swoim popierają oni dążenia miast do obejmowania pod własny zarząd całego szeregu przedsiebiorstw, mających charakter użytkowości publicznej. Oto np. oświetlenie gazowe. W miastach, które oddały je w monopol jakiemuś prywatnemu przedsiebiorstwu, mieszkańcy muszą płacić przeważnie 30 centymów za metr kubiczny często i 48 cent., chociaż koszta produkcyi wynoszą tylko 14 centym. przeciętnie! Tymczasem w miastach, które, jak np. Arcoli, Livorno, Padwa, Vicenza, objęły pod własny zarząd zaspokojenie tej ważnej potrzeby ludności, cena mogła być odrazu zniżona z 40 do 30, z 38 do 20, ba! nawet w Pawii do 13 cts., przyczem jeszcze zarządy miejskie nie potrzebują dokładać. Ale miasta, które to zrobiły, mogły to zrobić tylko dzięki nieco dowolnemu tłomaczeniu prawa; w wielu innych wypadkach prefekci rządowi, wykonywając z całą surowością przysługujące im prawo kasowania uchwał rad gminnych, uniemożebniali normalny rozwój w tym kierunku. O ile się dało, starały się jednak miasta złamać ich opór i zaspokoić życzenia większości mieszkańców. Livorno i Rimini np. objęły na własność i pod zarząd gminy swe piękne zakłady kąpielowe, na czem doskonale wyszła ludność uboższa. Miasto Reggio Emilia „umiastowiło,“ jeśli się tak wyrazić wolno, zaopatrywanie biednych w lekarstwa, które dotychczas

było wydzierżawione aptekarzowi; ludność ma dzięki temu lekarstwa tańsze i lepsze.

Ale dopiero teraźniejszy rząd pomyślał o tem, aby raz na zawsze uwolnić miasta od przeszkód, stawianych im na tej drodze. W tym celu przeprowadził już w izbie poselskiej prawo, które wkrótce z pewnością przyjmie i senat, a król zatwierdzi, upoważniające miasta do municypalizacyi — czyli do wykupu albo zakładania na własną rękę nowych, następujących przedsiebiorstw: oświetlenia gazowego, wodociągów, budowania kanałów i ulic, budowania kąpieli, przytułków i zarządzania niemi, telefonów miejskich, aptek, piekarni wzorowych, w celu zapobiegania zbyt wielkiemu podrożeniu chleba, lodowni, zakładów hydraulicznych i elektrycznych, środków komunikacyi, przedsiebiorstw pogrzebowych. Rzecz ciekawa i godna uwagi, że prawo wprowadza w tych sprawach referendum gminne: rada ma zapytać ogółu ludności o to, czy większość życzy sobie municypalizacyi lub założenia na nowo jakiegoś przedsiebiorstwa, i jedna trzecia mieszkańców może również w każdej chwili wystąpić z takim wnioskiem, który wtedy oddany być musi pod głosowanie powszechne.

W celu uniemożliwienia nadużyć nepotyzmu, tak dającego się we znaki we Włoszech, prawo postanawia, że krewni członków rad gminnych aż do trzeciego stopnia, i oczywiście oni sami, nie mogą zajmować żadnych posad w przedsiebiorstwach miejskich; kontrola rachunków zaś należy do zarządu prowincyonalnego.

W ten sposób na warsztacie reformatorskim we Włoszech znalazły się dziś sprawy z różnych ważnych dziedzin życia publicznego. Odpowiada też temu żywe i wszechstronne poruszenie umysłów.

K. Radosławski.

FEJLETON.

VERBUM NOBILE.

Wielkie dzieło.

Nie wierzcie tym, którzy wam powiadają, że prawdziwa poezya ucieka od życia w krainę baśni. Tak bywa często, ale niezawsze. Właśnie najpiękniejsza poezya przychodzi z krainy baśni do krainy życia.

Przed kilku dniami był u mnie Adam Szymański i opowiadał mi nadzwyczajne rzeczy. Ten poeta-prozaik umiał zawsze opowiadać rzeczy nadzwyczajne o ludziach nieszczęśliwych. I teraz przyszedł z wiadomościami nadzwyczajnemi. Zdawało mi się zupełnie, że zszedł na ziemię z krainy baśni.

Opowiadał mi o Galicyi, o tej ciemnej, głodnej, zacofanej Galicyi. Nie, nie o zacofanej, gorzej jeszcze, opowiadał mi o wciąż cofającej się Galicyi...

Dlaczego: wciąż cofającej się? Ba, jest to zagadnienie wprost rozpaczliwe.

W Galicyi, pomimo tylu szkółek i szkół, tylu gimnazyów, pomimo dwóch uniwersytetów i jednej, wspaniałej, wielkiej Akademii Umiejętności, oświata rok rocznie nie postępuje, ale upada. Bo tam rocznie liczba urodzeń jest większa od liczby tych, którzy się nauczyli czytać. Więc w Galicyi liczba analfabetów z każdym rokiem rośnie, więc Galicya istotnie z każdym rokiem cofa się w ciemność kulturalną.

Kraj, który na ogólną liczbę obywateli posiada $^{4}/_{7}$ analfabetów, kraj, w którym liczba ludzi ciemnych z każdym rokiem wzrasta, nie zasługuje na nazwę kraju ucywilizowanego. W takim kraju akademia umiejętności, to bogaty złotnik w mieście żebraków, to zamożny piekarz w mieście głodnych, którzy nie mają za co kupić sobie kawałka chleba. Gorzej jeszcze. O kromkę chleba woła zgłodniały żołądek; ale o promyk oświaty nie dopomni się mózg człowieka ciemnego. Człowiek ciemny to ruchome piaski Sahary, którymi pomiatać będzie każdy wiatr. Człowiek ciemny jest tylko zdolny do odruchów, ale nigdy do ruchu. Człowiek ciemny w Galicyi ma swoją straszną historyę, od której zaiste „bieleje włos.“

Ale czy wiele więcej wart jest w Galicyi człowiek przez pół oświecony? Co to jest wogóle człowiek przez pół oświecony? To pół-myśl, to pół-cześć, to pół-dążenie. Klasa ludzi przez pół oświeconych, klasa ludzi niedocywilizowanych, to owe nieszczęśliwe, służalcze plemię, które jest wprost niezdolne do zrozumienia podstawowych zagadnień swego własnego losu, które będzie się łudziło, iż ma jakiś głos w chórze autonomicznym, iż ma jakiś głos na wyborach, które będzie zawsze tylko pionkiem na szachownicy cudzych interesów. Człowiek przez pół oświecony, to plaga dzisiejszej Europy, to kula u nogi wszelkiego postępu, to ów tłum, który będzie doprowadzał do rozpaczy każdego myśliciela, każdego uczonego, każdego artystę, każdego polityka, to ów tłum, który oszukuje i chce być oszukiwanym.

Z tego bezmyślnego, niedocywilizowanego tłumu rekrutuje się w Galicyi Prometeusz oświaty, nauczyciel. Prometeusz ten jest przedmiotem niesłychanej nienawiści dziatwy szkolnej. Ona widzi w nim nie światłonoścę, ale swego wroga, swego gnębiciela, prześladowcę wszystkich porywów młodości, który szydzi i drwi z cudotwórczej imaginacyi dziecka, który bierze w swe brutalne ręce ludzką roślinkę i skręca ją wedle swoich pedagogicznych schematików, który w dziecku nie uszanuje nigdy duszy, bo i w nim nigdy duszy nie uszanowano. On uczy w gniewie, w złości i nienawiści, on uczy strachem, karą, on ani nie umie kochać, ani też niema na to czasu!

Taki materyał ludzki przechodzi ze szkółek wiejskich i miejskich do szkół średnich, które uczynią z niego semi-historyka, semi-filologa, semi-matematyka, a przedewszystkiem semi-człowieka. On w tych szkołach dowie się dwóch zasadniczych prawd: jednej, że trzeba ludziom dużo opowiadać o Katonach i Arystydesach, drugiej, że nie Katony i Arystydesy robią karyery.

I cóż dziwnego, że w takim stanie rzeczy ostatni symbol Wyspiańskiego nabiera niesłychanej wyrazistości. Na mównicy publicznej staje Maska Biała, kładzie rękę na sercu i mówi. A Chór kiwa głowami. Potem staje na mównicy Maska Fioletowa, kładzie rękę na sercu i mówi. A tłum kiwa głowami. Lada Maska będzie kładła rękę na sercu i mówiła. A Chór będzie ciągle kiwał głowami.

Stało się jednak, iż w tej Galicyi ocknęły się umysły. Zebrało się koło ludzi pod hasłem: Reformy szkolnej.

Powiedzieli sobie: usuwamy się od wszelkiej polityki, co więcej, zapraszając wszystkich do współpracy, nie dajemy przewagi w naszem kole żadnemu obozowi politycznemu. Zadaniem naszem zasadnicza reforma systemu oświaty, a czynem pierwszym — zupełne usunięcie z Galicyi analfabetów.

Zakładamy organ, który będzie pracował nad teoryą, a wyniki badań popularyzował. Wiążemy się w wielkie, oficyalne stowarzyszenie, które prywatną inicyatywą dokona tego, czego dokonać nie mogła oświata ściśle urzędowa.

Więc przedewszystkiem potrzebny jest nam elementarz. Mamy go. Posiadamy najlepszy elementarz w świecie. Jest to elementarz Promyka. Na ostatniej wystawie lwowskiej nasi pedagodzy przechodzili obok niego obojętnie, tymczasem Anglicy uznali go za ostatni wyraz pomysłu na tem polu.

Ale sam Promyk wiedział i powiedział, że elementarz jego nie jest idealnym; wreszcie powiedział, jakim powinien być. I wedle jego zapowiedzi nasz elementarz takim będzie.

Elementarz nasz będzie ruchomy, będzie się składał z kilkudziesięciu oddzielnych tablic. Tablice te nie będą sporządzone ani z papieru, ani z tektury. One będą sporządzone z blachy. W twardych, spracowanych rękach chłopa blacha przetrwa kilka pokoleń. Zegnie się, ale nie uszkodzi.

Na podzielonem polu z jednej strony wielka litera, pod nią wymalowany przedmiot, którego nazwa rozpoczyna się od tej litery, na prawo tekst.

Wymalowany przedmiot ma być tylko poznawalny, przedewszystkiem poznawalny. Zresztą pozostawia się wolne pole dla imaginacyi artysty. A do wymalowania wzorów wezmą się pierwszorzędni nasi malarze-artyści, dzielni ludzie, szlachetni ludzie. Wezmą się: Mehoffer, Wyspiański, Stanisławski, Tetmajer. Nie żądają żadnego wynagrodzenia, talent swój i pracę składają na ołtarzu oświaty.

Taki elementarz, złożony z blaszanych tablic o wysoce artystycznem wykonaniu, zostanie wydany w 20,000 egzemplarzy. Towarzystwo reformy szkolnej wyśle z nim swego delegata do wsi. Delegat wyszuka wśród wieśniaków najpoważniejszego, najzacniejszego, najczystszego człowieka i złoży u niego egzemplarz elementarza. Będzie on zatem posiadaczem „Klucza do wiedzy.“ Pierwszą tablicę da Wojtusiowi. Wojtuś, poznasz literę, przypatrzysz się uważnie wymalowanemu przedmiotowi, potem nauczysz się czytać tekst; a potem, gdy już to będziesz umiał doskonale, odniesiesz mi oną tablicę a dostaniesz następną; pierwszą zaś dostanie Wicuś. A pamiętaj jeden z drugim: niewolno ci jej zgubić, niewolno ci jej zarzucić, niewolno ci jej uszkodzić, niewolno ci jej zgiąć, ale masz ją szanować jak obrazek święty, bo ta tablica to twoja największa dobrodziejka. Ona cię wywiedzie z ciemnoty, z poniżenia, ona jest pierwszym krokiem na drodze do świata i do lepszego życia na ziemi. Więc pamiętaj Wojtuś, że to nietylko złoty kluczyk do wiedzy, ale złoty kluczyk do lepszego życia na ziemi...

Rzucone w przepaść ciemnoty galicyjskiej 20,000 ruchomych elementarzy obejmie 20,000 wsi i sprawi, że po jednym roku może w Galicyi nie być już ani jednego analfabety!

I czy nie jest to zaiste wielkie dzieło? Czy źle powiedziałem, że Adam Szymański przyszedł do mnie wprost jak z jakiejś krainy baśni? Czy nie mówiłem prawdy, że najpiękniejsza poezya schodzi z krainy baśni do rzeczywistości?

A jak to wspaniale pomyślane, jak to proste!

Czy może istnieć na kuli ziemskiej jakiś rozumny polityk, któryby nie przyklasnął takiemu dziełu kultury? Czy taki zamiar wymaga jakiejkolwiek dyskusyi? Nie, ten zamiar wymaga tylko 20,000 koron, które społeczność galicyjska powinna złożyć w ciągu pięciu minut i wręczyć Towarzystwu reformy szkolnej.

Te 20,000 koron znajdzie się. Elementarz będzie wykończony w ciągu kilku miesięcy. Najdalej w ciągu dwóch lat Galicya może już nie mieć analfabetów!

Powiedźcie mi, czy to nie jest dzieło wprost epokowe?

Nie wiem, czy ja tu wiernie powtarzam to wszystko, co mi mówił Adam Szymański, bo przecież takich rzeczy wprost niepodobna słuchać spokojnie. Nie wiem, czy

ja tu oddaję wiernie podniosły nastrój opowiadania tego jednego z pomiędzy owych niepospolitych inicyatorów dzieła kultury. Ale to wiem, że niema większego szczęścia dla publicysty, jak opowiadać społeczności, że się dzieje coś wielkiego, coś niesłychanie pięknego, że można rozegnać na cztery wiatry żal, skargę, ból, ironię, satyrę, że można odetchnąć jakąś ideą, że można powiedzieć sobie: żyję, bo widzę piękno.

Ludzie, którzy czynność swą rozpoczęli od takiego pomysłu, powinni zyskać zupełne zaufanie ogółu. Uszanujmy takie źródło, ono nie wyschnie, nie zamuli się. Ludzie wszystkich obozów, wszystkich przekonań, wszystkich warstw i odcieni, powinni takich ludzi otoczyć najczulszą opieką, dać im środki do ręki a przedewszystkiem—wierzyć im. Oni rzeczywiście rozpoczęli pracę od fudamentów.

Andrzej Niemojewski.

BADANIA NAUKOWE.

Morze i pustynia.*)

Błękitne fale oceanu i żółto-brunatna płaszczyzna bezwodnej pustyni okazują, mimo zasadniczego przeciwieństwa, tyle podobieństw krajobrazowych, iż łatwo zrozumieć, gdy żeglarz mówi nam o przebywaniu „wodnych pustyń", a podróżnik w Saharze z grzbietu „okrętu pustyni" doznaje wrażenia „suchego oceanu." W Saharze płaskie, skaliste równiny hamada, faliste obszary zwirowe sserir, słone jeziora, wielkie rozprzestrzenienie piasku — wszystko przypomina podobne zjawiska na wybrzeżu oceanu; to też nawet dla naukowego wyjaśnienia pustyń punktem wyjścia było początkowo morze: „morze Saharskie" np. należało do ulubionych teoryj dawniejszych geologów; podróżnicy po innych pustyniach opowiadali nam również o „wyraźnych" śladach dawnych mórz. Nie da się zaprzeczyć, iż powierzchownie biorąc, istnieje wiele wspólności między morzem i pustynią. Słona woda wypełnia zagłębia oceaniczne, których dna mają tylko bardzo łagodne nachylenia, są prawie poziome. Wieniec żółtawych diun obrębia wybrzeże, a gdzie silne falowanie morza dosięga stóp skalistego brzegowiska, tam olbrzymie rumowisko i głęboko pożłobione skały świadczą o niszczącej sile fal.

Pustynie również obfitują w sól; jeziora słone, bagna słone i źródła słone napotykają się licznie; ale podczas gdy skład chemiczny wody morskiej od bieguna do równika i od nadbrzeżnych mielizn do największych głębin jest wszędzie mniej więcej jednakowy, to sól pustyni przedstawia jakościowo wielką rozmaitość. Sole, jak glauberska, boraks, soda, które w wodzie morskiej grają rolę bardzo podrzędną, są charakterystyczne dla słonych jezior pustyni, każde prawie jezioro ma tu inny skład i inny stopień koncentracyi, a znaczne obszary pustynne są nieraz znów tak ubogie w sól kuchenną, że beduini przedsiebiorą dalekie podróże dla zdobycia tej koniecznej przyprawy pokarmów. Walther w „słonej" pustyni Arabskiej napotkał karawanę z trzydziestu beduinów, którzy już wiele dni byli w podróży do obfitującej w sól miejscowości nad Uadi Ssannur. W wielu okolicach Afryki północnej sól kuchenna jest tak rzadka, iż kawałki jej służą jako moneta (amole), a o bogatym człowieku powiadają: „on codziennie jada sól."

Tak więc sól pustyni i sól morska są co do swego składu i rozprzestrzenienia bardzo różne, a jednolity skład wody morskiej jest przeciwieństwem wielce zróżniczkowanych i sporadycznie występujących, łatwo rozpuszczalnych związków obszaru pustyni.

Jeżeli teraz zwrócimy się do ukształtowania dna morskiego i gruntu pustyni, to pomimo wielu podobieństw znajdziemy też i znaczną różnicę. Dno morskie, poznane zapomocą licznych sondowań, składa się, pominąwszy pas nadbrzeżny, z osadów przeważnie mulistych; tylko osad chemiczny (konkrecye) i w części organiczny (korale) daje utwory twarde; zresztą dno morza składa się z poziomych warstw mułu tak miękkiego, iż sonda grzęźnie w nim głęboko. Tymczasem pozioma powierzchnia pustyń składa się albo z litej skały, jak równiny hamada, albo, jeżeli został utworzony przez procesy osadzania: — z grubego zwiru, rumowiska i piasku, które złożone zostały w zagłębieniach pustyni, czyli t. zw. wannach.

Piaszczyste diuny napotykają się na pustyniach równie jak i na wybrzeżu morskiem, ale i to podobieństwo jest także tylko zewnętrzne: czysty piasek diun nadmorskich tworzy stosunkowo wązki pas, na sąsiedniem dnie morskiem mięsza się już do niego muł, tymczasem diuny pustyni przedstawiają pasy szerokie na setki kilometrów. Do tego przyłącza się jeszcze różnica paleontologiczna: piasek na wybrzeżu zawiera prawie zawsze szczątki zwierząt morskich, podczas gdy piasek pustyni zawiera tylko resztki roślin lądowych i tropy zwierząt lądowych. Fale i dno oceanu posiadają bogate życie, bezżyciowość zaś pustyni znajduje wymowny wyraz w rzadkości szczątków organicznych pośród tworzących się tam osadów.

Najtrudniejszą rzeczą dla niewprawnego oka jest pochwycenie różnicy między poszarpanemi skałami wybrzeża morskiego i wnętrza pustyni; ale i tutaj oszlifowania przez piasek, miotany wiatrem, dziwaczne, grzybowate kształty skał i inne oznaki napotykane wśród pustyni dowodzą przy bliższem badaniu, że i pod tym względem podobieństwo między morzem i pustynią jest tylko powierzchowne.

Jeżeli więc przeprowadzamy — mówi Walther — paralelę między dnem morza i gruntem pustyni, to kierują nami inne, głębsze powody geologicznej natury.

Jakkolwiek wydaje się to rzeczą prostą, że większa część skał skorupy ziemskiej powstała na dnie morza, warto jednak zastanowić się nad tym, dlaczego osady morskie mają taką przewagę. Liczne procesy skałotwórcze odbywają się wszędzie na lądach: woda deszczowa rozpuszcza minerały lub rozkłada twarde skały; strumienie, lodowce i fale morskie przenoszą zwietrzały materyał i wreszcie cały ten materyał rozpuszczony i mechanicznie przenoszony, dostaje się do wielkiego zbiornika oceanowego. Dopóki materyał ten znajdował się jeszcze na lądzie, podlegał ciągłym zmianom i wędrówkom, gdy jednak strumień uniósł go do morza, wówczas wszystkie skałotwórcze procesy znalazły swój koniec. W wielkim zbiorniku, z którego niema wyjścia, każde ziarnko piasku, każda rozpuszczona cząstka jest schwytana w matnię. Tylko przez podniesienie dna morskiego lub obniżenie poziomu morza, osady morskie mogą znów wystąpić na światło dzienne, a zmieniwszy się przez ten czas w twardą skałę, ulegną znowu dawnemu procesowi wietrzenia.

I na tym punkcie każda powierzchnia pustyni jest zgodna z dnem morskiem. Każdy obszar pustynny jest pod względem procesów skałotwórczych równoważnikiem zagłębia morskiego, albowiem pustynia jest bezodpływowa i żadna rzeka, żaden lodowiec, żaden prąd morski nie może przekroczyć granic pustyni i wynieść z niej choćby jednego kamyka. Tylko suche, drobne cząsteczki pyłu lub piasku, pochwycone przez wiatr, mogą przekroczyć szranki pustyni; że jednak ziarnka piasku nie muszą zbyt często odbywać tak dalekiej wędrówki, to dowodem tego jest wielkie rozpostarcie diun piaszczystych właśnie w obrębie pustyń. Tym sposobem wogóle tylko cząsteczki pyłu są dość lekkie na to, aby być przez wiatry wydalonemi z pustyni; to nam wyjaśnia dlaczego grunt pustyni jest pozbawiony pyłu.

Wietrzenie na pustyni pracuje bardzo intensywnie nad niszczeniem gór, rozsadza skały, pomniejsza odłamy. Te olbrzymie rumowiska, te masy szutru muszą osadzić się w obrębie pustyni i tym sposobem powstają tu skały okruchowe, pokrywające grubemi masami olbrzymie obszary pustyni. Wielkie zagłębienia skalne wypełniają się osadami okruchowymi, stałe lub peryodyczne rzeki, a często tylko przelotne ulewy, toczą szlamiste fale ku zagłębieniom, pokrywając znaczne ich obszary mułem wyżej i wyżej, aż wreszcie z tego „suchego morza" sterczą tylko pojedyńcze zębate szczyty, pogrzebanych gór. Wędrujące diuny przekraczają bez trudu te równiny, tworząc ponad warstwami mułu osady piaskowca, a gdzie roztwory chemiczne pod wpływem palących promieni słońca ulatniają się, tam powstają pokłady soli oraz wapienia i gipsu. Właściwą zaś przyczyną wszystkich tych procesów jest bezodpływowość pustyń, dzięki której ani jedna kropla roztworu solnego, ani jeden otoczak nie może przekroczyć granicy pustyni. Ale dział wodny, otaczający pustynię niby ścianą od sąsiednich zlewisk oceanicznych i tworzący tak ostrą granicę dla wszystkich tych litogenetycznych procesów, ulega w ciągu dziejów ziemi przesunięciom, zarówno jak granica lądu i morza. Tutaj zasady hydrostatyki zmuszają morze raz przekraczać brzegi, to znów cofać się przed niemi — w pustyni zaś czynnikiem podobnych zmian są procesy klimatyczne lub drobne zmiany topograficzne.

Kwestya zmiany klimatu wskutek badań nad kopalną florą trzeciorzędową, oraz nad epoką lodową stała się powszechnie znaną nietylko geologom, ale i szerszej publiczności. Wskutek tego łatwo sobie wyobrazić, że klimatyczne granice pustyń ulegały zmianom w ciągu dziejów ziemi, a badania geograficzne wykazały na wielu pustyniach, że ich granice nawet w czasach historycznych uległy przesunięciu.

Tym sposobem nabyliśmy wyobrażenia, że obszary pustyne, otoczone równie ścisłemi granicami, jak ocean, zmieniały równie jak ten ostatni w ciągu geologicznej przeszłości swe położenie na powierzchni ziemi; że pustynia ze wszystkiemi swemi procesami litologicznemi może ulegać wahaniu; że po wielkich przestrzeniach odpływowych wędrowały pustynie, osadzając na nich olbrzymie masy rumowiska i piasku; że roztwory solne zostały odparowane i owinięte tak spójną nieprzepuszczalną warstwą gliny, że nawet zalew morski nie mógł tej soli rozpuścić na nowo.

Już od dawna geologowie przekonali się, że obok niewątpliwie morskich osadów oraz skał wulkanicznych znaczną rolę w budowie skorupy ziemskiej grają osady niewulkaniczne, a jadnak pozbawione skamieniałości. Osady te są bądź uwarstwione, bądź masowe; bądź okruchowe, bądź krystaliczne; występują to w postaci pni, to cienko uwarstwionych pokładów i mają właściwie jedną tylko wspólną własność: brak skamieniałości morskich. Mięczaki o cienkich muszlach, znajdowane w takich skałach, przemawiają za pochodzeniem

*) Według J. Walthera: *Das gesetz der Wüstenbildung in Gegenwart und Vorzeit.* Herausgegeben mit Unterstützung der königl. Akademie der Wissenschaften zu Berlin. 1900.

słodkowodnem, uwarstwienie, często bardzo wyraźne, przypomina utwory morskie, a kości zwierząt lądowych i szczątki roślinne dowodzą bliskości lądu. I tak przyzwyczajono się oznaczać te skały jako utwory nadbrzeżne lub jako osady jezior lądowych; oba te pojęcia dadzą się poczęści usprawiedliwić, nie objaśniają jednak wszystkich zjawisk. Do tego dodać należy jeszcze jedną charakterystyczną cechę właściwą wielu tym okruchowym osadom.

(D. n.)

Wacław Nałkowski.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Emma Jeleńska: *Dwór w Haliniszkach*, powieść.

Zbyt często bywa, iż tendencya przeistacza powieść w utarczkę blaszanych żołnierzy.., Pokój dziecinny — mały Jaś rozstawił dwie armie: tu nasi — tam nieprzyjaciele; jeden pstyczek— i oto legli wrogowie pokotem, a Jaś w poczuciu zaspokojonej ambicyi wodza obwołuje zwycięztwo. Ludzi przeciętnych, pluskających się w fali powszedniości i wyławiających z niej swój praktyczny cel życia, opuszczają rychło te dziecinne upodobania, pozbywają się ich we właściwym czasie i ci, w których wyobraźnia lotna i wrażliwa nie rozprasza trzeźwego umiłowania prawdy, zostają one jako trwały pierwiastek duchowy u jednych chyba tylko — powieściopisarzy pewnego odcienia. Ci żadną miarą rozstać się nie mogą z swem blaszanem, lakierowanem wojskiem. Miniaturowi żołnierze tacy są ładni, tak łatwo nimi przesuwać, tacy posłuszni komendzie autorskiej, posłuszniejsi stokroć, niż typy z rzeczywistości, nawet i do pochwycenia trudne.

Żywy człowiek każe iść za sobą, niepodobna wziąć go za czuprynę i zawlec na placówkę przez autora obraną. Żywy człowiek sam sobie obiera placówkę, której bronić zamierza, przysparzając kłopotów autorowi i wprost niwecząc najczcigodniejsze jego intencye, gdy tymczasem blaszany... Na lewo zwrot — na prawo zwrot, czarni w rozsypkę — biali górą. I dowiedziono — co dowieść należało.

O ile utwór powieściowy nosi wyłączne cechy takiej pospolitej i ostatecznie nieszkodliwej zabawy dorosłego Jasia, krytyka — prócz zaznaczenia, iż Jaś się bawi i niech mu to na zdrowie idzie — nic więcej do powiedzenia mieć nie może. Inaczej rzecz się ma, gdy przygotowani do zabawy dziecinnej uwidoczniają niespodzianie nakład pracy o zakroju niedziecinnym i owoce obserwacyi życiowej ze śladami talentu. Wtedy godzi się wskazać, co tu się marnuje, czego szkoda, ile traci autor, poprzestający na wyskubywaniu z powierzchni życia objawów potrzebnych mu do zabawienia się w tendencyę, ile zyskałby on, a z nim czytelnik na pogłębieniu sondy psychologicznej z usunięciem na stronę morału. Owszem — chciałoby się wtedy powiedzieć — namalujcież tygrysa i jagnię, jeśli ten właśnie temat wysunął się z dobytku naszych spostrzeżeń i jeśli ku niemu to popycha was rodzaj talentu, ale pocóż stawiać przy obrazie draba, wrzeszczącego: Tygrys rozdzierający jagnię! Ach! straszny zwierz! — Ach! podły zwierz! — ach! nieszczęśliwa, poszarpana ofiara... Czynić taki harmider przystoi tylko właścicielowi budy z osobliwościami. Chyba że — chyba że, ani tygrys namalowany do tygrysa, ani jagnię do jagnięcia prawdziwego podobnemi nie są i obraz wymaga koniecznie podpisu, objaśnienia. Ale to już kategorya bezwartościowych towarów, opakowanych jeno w skrzynki z błyszczącą etykietą tendencyi — i o takich rzeczach znów nie mówi się nic.

O powieści p. Jeleńskiej mówić można, pomimo że jest to robota zaledwie sfastrygowana, która, po wyciągnięciu białej nici tendencyi, kupy by się nie trzymała. Ale są tam spostrzeżenia trafne, chwile życia w przelocie zatrzymane, drgnienia dusz ludzkich jakby na płytce fotograficznej utrwalone, podszkicowania osób i obrazów niezupełnie wprawną ręką wykonane, lecz zaciekawić zdolne, tu i owdzie rzecz podmalowana tak, iż oko z przyjemnością na niej się zatrzymuje — jest, słowem, coś, czego szkoda, że uzupełnione i pogłębione nie zostało, co warto było ująć inaczej, nie dla zabawienia się wzorem Jasia, a dla sprawienia artystycznego na widzu wrażenia. Pani Jeleńska przeważną część tego wrażenia poświęciła na rzecz wypełnienia tłomoczka czytelnika pięknie brzmiącemi i bardzo nawet sympatycznej treści sentencyami, których osią jest: pracujmy dla swoich; siły, talenty, serca, dusze, natchnienia — dla kraju; nie rozpraszajmy ich wśród obcych, nie wywoźmy za granicę, nie oddawajmy w służbę bogom obcym, mającym licznych ofiarników i czcicieli własnych.

Jako pierwowzory postaci ilustrujących tendencyę wskazuje autorka Maryę i Martę z Pisma świętego. Rzym — powiada — mistrzem jest wielkim, ale tak łagodnym i pociągającym, że chce się, jak Marya, u stóp Pana siedzieć i słuchać, nie zaś, jak Marta, troszczyć się i działać. I wyradzają się tu (z przybyłych do Rzymu Polek) Maryе zapatrzone i zasłuchane, ust nie mogące oderwać od tego źródła rozkoszy, niepomne, że tam, daleko, czeka na nie troska i praca, siedzą one z założonemi rękami, ze słodkiem w sercu wrażeniem, mówiąc do siebie, iż najlepszą cząstkę obrały. A tam, daleko? — Marty frasobliwe snują szarą, grubą przędzę codziennego życia; tkają szare, grube płótna bytu narodowego.

Cząstkę Maryi obrała Teresa Halicka, ulegając wezwaniu z góry — jak zapewnia sama, a może — autosuggestyi, jak przypuszczać pozwala sobie trzeźwiej na rzeczy patrzący monsignor Żurawski. Teresa miewa widzenia, raz w czasie ciężkiej choroby, kiedyindziej w kaplicy della Pieta w kościele św. Piotra, nawiedza ją Panna Święta; głos jakiś przemawia do szlachcianki z Litwy przybyłej: „Założysz zakon nowy sióstr bolejących.“ Potem ona już sama dopowiada: Zakon to musi być wielki, prawdziwy filar kościoła, gwiazda na niebie katolickiem, tarcza przeciwko niewierzącym. Powstać on winien, oczywiście, tylko tu, w Rzymie, u źródła życia duchowego. Pierwszą dla nowego zakonu zjednaną duszą jest matka Teresy, pani Alina.

Prząśniczką przyszłą bytu narodowego, jedną z Mart frasobliwych, będzie siostra Teresy, Zosia, obejmująca ukochaniem swojem rzeczy bliższe i widome: kraj, wieś swoją, dwór stary, lud ciemny, ubogi i grzeszny, wreszcie — chłopca młodego, młodego, jednako z nią myślącego, z którym radaby po jednej ścieżce kroczyć.

Roztrząsanie wyższości *typu* Maryi, czy Marty — czczem byłoby i jałowem. Jeśli niepowszednio uposażone organizacye zdołają rozwinąć swoje odrębne właściwości duchowe do najdalej idących granic, nie są one już wtedy współmiernemi. Można je zestawiać dla kontrastu, wolno zrobić wybór zgodnie z osobistymi poglądami i upodobaniami, lub wskazać, wśród jakiego układu stosunków życiowych i dla jakiego celu praktycznego ta, czy tamta indywidualność bardziej jest pożądaną i użyteczniejszą — ale na tem koniec. Przedewszystkiem, każdy powinien być samym sobą i tylko samym sobą będąc, osiągnąć można jakiś szczyt duchowy, a następnie— wszak głupstwem byłoby się spierać, co piękniejsze: zorza północna, rozpłomieniona nad krainą wieczystych lodów, czy cicha, letnia noc nad brzegami Tybru. To co innego — i tamto co innego.

Żądamy od powieściopisarza pokazania nam duszy ludzkiej na takiej głębokości, byśmy uwarunkowania jej myśli i uczuć widzieć i układ ich pojąć mogli. Nie o to nam idzie, kto lepszy, chcemy aby nas przekonano, że człowiek wobec skłonności indywidualnych, na dnie jego duszy złożonych i pod parciem wpływów zewnętrznych, musiał być takim, jakim powieść go przedstawia, innym być nie mógł. Pani Jeleńskiej wystarczyło, gdy z postaci, które niewątpliwie życie — nie wymysł — jej nastręczyło, uskubała tyle rysów, by mógł powstać frazes o Maryach itd.

Szkoda. Teresa jest szkicem, obudzającym ciekawość. Obok skłonności do uniesień ekstatycznych, jest w niej upór zimny, trwanie przy swojem niezłomne, niewzruszoność postanowień wsparta oschłością serca, sprawiającą, iż o drgania serc innych, upominających się o swe prawa do życia i szczęścia, dziewczyna ta nie dba wcale i przeszkód tego rodzaju nie waży sobie zgoła, gotowa skruszyć je bezlitośnie; jest w niej też niewrażliwość zupełna na pobudki zmysłowe. Ale autorka stawia nas odrazu wobec czegoś, co już w formie swojej zakrzepło; kształtowania i rozwijania się tej organizacyi niecodziennej nie widzimy.

Wiele jest jeszcze niedopowiedzianego i niedociągniętego w Zosi. Uległość, z jaką zostaje ona narzeczoną człowieka, wbrew sercu, narzuconego jej przez Teresę, działającą z zimnem wyrachowaniem, by pozbyć się kłopotliwej opieki nad młodszą siostrą, a pozyskać wpływowe poparcie szwagra dla nowego zakonu, niedostatecznie umotywowana jest siłą hypnotyzujących nalegań Teresy i wymowy żarliwego kaznodziei rzymskiego. Dziewczyna ta lepszą część duszy i utęsknione serce zostawiła w zakątku ziemi litewskich, w Rzymie zaś zgadza się, bez wielkiego frasunku, zostać żoną człowieka, którego natura złożona, przerafinowana, obłudna, lubieżna — w niej samej, prostej, czystej — wstręt obudzićby musiała instynktowy, chociażby niedoświadczenie nie pozwoliło jej przejrzeć człowieka tego krytycznie. To narzeczeństwo stawia Zosię w świetle powszedniości tak ograniczającej widnokrąg jej myśli i taką szarością powlekającej jej uczucia, iż niezrozumiałymi się stają następne przejawy siły i energii. Skądże potem ów dzielny okrzyk: „Nie dam, ani kawałeczka nie dam ziemi,“ gdy matka namawia ją do sprzedaży części majątku dla pokrycia kosztów fundacyi klasztoru. Przecież gdyby nie traf — dość nawet nieprawdopodobnie pomyślany — ukazujący jej narzeczonego w objęciach hetery, Zosia najpewniej nie zostałaby prząśniczką bytu narodowego, lecz osobą z kosmopolitycznej kolonii w Rzymie, a w następstwie, po rozczarowaniach, które mąż nie omieszkałby jej zgotować — nową Siostrą Bolejącą. Za krucha więc podstawa dla — utrzymania bytu narodowego.

Jedna tu jest postać, która istotnie żyje, postać wyborna — to pani Alina.

Ongi żądną była bardzo zabawy, nowości, wrażeń, wzruszeń gwałtownych i niebezpiecznych. By pani Alinie wzruszeń tych nie brakło, o to troskliwie dbali jej dyskretni i liczni wielbiciele. Przyszła jesień życia, mistycyzm córki wskazał matce dziedzinę nowych, niewypróbowanych sensacyj — i oto widzi siebie pani Alina w surowem, ale wykwintnie urządzonem parlatoryum, w czarnej sukni zakonnej i welo-

nie na ramiona opadającym. Zajeżdżają wspaniałe ekwipaże, kroczą postacie z wielkich rodów pochodzące, wykwintne, rasowe i pytają furtyanki o la Mère Superieure. To — ona, a zakon ów — to zgromadzenie Polek szlachetnie urodzonych, *des ames distinguées*, uprawiających pobożność, nie tę pospolitą, parafialną, nie tę *petite piété de bonnes femmes*, lecz wyższą, stylową i nawskróś dystyngowaną...

Wiele rzeczy jest tu opisanych barwnie i zajmująco. Na ogół jednak przeładowanie drobiazgami i stąd rozwlekłość nużąca.

Feliks Brodowski.

ODCZYTY.

—⬥—

Adam Szymański: *Życie i nauka Buddy.*

Nakoniec mieliśmy wczoraj pierwszy odczyt na rzecz Kasy literackiej, na którym publiczność zebrała się w przyzwoitej ilości. Na katedrze stanął Adam Szymański, autor „Szkiców syberyjskich,“ który od dłuższego już czasu wziął sobie za zadanie obznajmiać nasze społeczeństwo z piękną postacią wielkiego myśliciela i reformatora etycznego, jakim był Gautama, księciem Siddartą zwany. Odczyt, będący streszczeniem słynnego poematu Edwina Arnolda p. t. „Światło Azyi,“ poematu, który jest nietylko arcydziełem literatury angielskiej, lecz i wszechświatowej, poprzedził prelegent wstępem, w którym zawarł kilka bardzo cennych objaśnień. Z nich dowiedzieli się słuchacze, że święte księgi buddyjskie, które do tej pory, niestety, nie zostały jeszcze odnalezione, musiały być napisane nie w języku Pali, jak dowodzą niektórzy uczeni, lecz w języku sanskryckim. Jest to rzecz ważna choćby z tego powodu, że kwestya języka, w jakim księgi te spisane zostały, stanowi o ich starożytności. Język Pali ma się tak do Sanskrytu, jak język włoski do łaciny.

Obok tego dowiedzieliśmy się jeszcze jednej bardzo doniosłej rzeczy, a mianowicie, że według najnowszych badań buddyjska legenda o niepokalanem poczęciu Buddy nie jest oryginalną, indyjską, lecz powstała później pod wpływem doktryny chrześciańskiej. Dla zrozumienia istoty buddyzmu i jego stosunku do chrystyanizmu jest to sprawa bardzo ważna.

Prócz tego wstęp obejmował jeszcze kilka wskazówek, dotyczących najnowszej literatury naukowej, traktującej właśnie o początku, rozwoju i obecnym stanie tej potężnej religii wschodniej, wobec której wszystkie inne razem wzięte nie posiadają nawet w przybliżeniu takiej ilości wyznawców.

Streszczenie poematu Arnolda w opracowaniu Szymańskiego jest bardzo wiernie i umiejętnie dokonane, podnosi bowiem wszystkie najważniejsze punkty i daje pojęcie nietylko o wyzyskanych przez autora podaniach oraz legendach, ale do pewnego stopnia i o pięknościach tego niezwykłego utworu, ponieważ język, w jakim prelekcya została wygłoszona, jest w całem tego słowa znaczeniu piękny, malowniczy i do oryginału mocno zbliżony, jakkolwiek prelegent posługiwał się tylko przekładami rosyjskimi.

Licznie zebrana publiczność opuszczała salę z zadowoleniem, że dano jej możność zapoznania się z treścią pięknego utworu, który przyczynił się bardziej do spopularyzowania w Europie nauki Buddy, niż wszyskie dzieła naukowe, jakie w tym przedmiocie napisano.

Z RUCHU MUZYCZNEGO

—⬥—

Mojżesz ks. Perosiego.

Pomimo licznych zwrotów w muzyce w ciągu zeszłego stulecia, muzyka religijna w ogólności, a zatem i oratoryjna, kroczyła przeważnie temi drogami, jakie jej wyznaczyli Bach i Haendel. I dziwić się temu nie można. Kierunek religijny w muzyce był dotychczas ściśle zachowawczy i wszelkie odstępstwa w tym względzie wzbudzały uzasadnione, z punktu widzenia religii, obawy. W ostatnich zwłaszcza czasach w łonie duchowieństwa zaczęto przestrzegać pilnie, aby muzykę kościelną oczyszczać z wszelkich naleciałości świeckich i przywrócić w kościołach śpiew gregoryański w jego formie pierwotnej.

Tem dziwniejszem wydaje się teraz uznanie przez stolicę apostolską nowego kierunku, jaki pragnie wprowadzić do muzyki kościelnej ksiądz Wawrzyniec Perosi, młody i niezwykle utalentowany kompozytor. Jest to kierunek nietylko nowy, lecz i modny obecnie, mianowicie muzyka programowa; ażeby zaś nie zerwać z dawnemi tradycyami, przeplata ją niekiedy zwrotami klasycznymi i urywkami chórałów gregoryańskich. „Mojżesz“ Perosiego nie jest więc dziełem z zakresu muzyki kościelnej; nowatorstwo widnieje tam w całej pełni, co zrozumiał i sam twórca, nazwawszy „Mojżesza“ nie oratoryum, lecz poematem symfoniczno - wokalnym. Pozostała jedynie treść biblijna i niektóre zwroty muzyki klasycznej, lub też gregoryańskiej, gdy treść muzyczna i sposób jej opracowania są wytworem najnowszych kierunków.

Nie odpowiadając wymaganiom stylu muzyki kościelnej, „Mojżesz“ zajmuje jednak wybitne miejsce między dziełami ostatniej doby z zakresu t. zw. muzyki programowej. Z pośród licznych zalet tego poematu podnieść należy przedewszystkiem przejrzystość formy i urok poezyi, jaki wieje z niektórych części; ścisły związek pomiędzy treścią a muzyką i sposób ilustracyi muzycznej są przeprowadzone logicznie, z dużą znajomością rzeczy, a chwilami przykuwają do siebie, zdumiewając nowymi pomysłami harmonii, kontrapunktu, przeważnie instrumentacyi. Czy kompozytor chce odmalować obrazy przyrody, czy też stan psychiczny osób, działających w dramacie, umie zawsze odnaleźć odpowiedni koloryt orkiestrowy. Największe efekty muzyczne są w części trzeciej, gdzie rozstąpienie się morza, przejście Izraelitów i klęska Egipcyan są odtworzone z zadziwiającą siłą dramatyczną i niezwykłą plastyką.

W „Mojżeszu“ orkiestra jest głównym podkładem; śpiew solowy i chóralny są jakby dopełnieniem dla zrozumienia całości i nie wywierają tego wrażenia, jakie nam daje strona instrumentalna.

Całość, napisana pod wyraźnym wpływem Wagnera i jego zwolenników, grzeszy pod niektórymi względami; przedewszystkiem znać tu wpływ szkoły włoskiej ostatniej doby, z Mascagnim i Puccinim na czele. Dalej, niektóre ustępy sprawiają wrażenie improwizacyi, nieopracowanej należycie, lecz rzuconej na papier jakby od niechcenia. Miejsc takich znajdujemy jednak niewiele, a wszelkie inne zarzuty, jakie dałoby się zrobić, nie osłabiają ogólnego wrażenia. Muzyka programowa posiada niewiele dzieł, gdzie, jak w „Mojżeszu,“ prostota, płynność melodyi, ścisły związek między treścią a muzyką stanowiłyby jednę nierozerwalną całość i wywierały na słuchaczu tak wielkie, chwilami nawet wstrząsające wrażenie.

Urok.

SPRAWY EKONOMICZNE

KOOPERATYWA LITERACKA.

—⬥—

Wśród warszawskich literatów i dziennikarzy błąka się od jakiegoś czasu niejasna myśl ściślejszego i dalej idącego zorganizowania się nad to, jakiego dostarcza im dobrze rozwijająca się i znaczne już zyski materyalne przynosząca „Kasa literacka.“ Chodzi mianowicie o dwie nowe instytucye: o klub i spółkę wydawniczą. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że obie te instytucye są konieczne potrzebne, aby warszawscy literaci i dziennikarze mogli wyjść ze stanu rozproszenia i rozbicia, utworzyć jakąś ściśle spojoną i jednym duchem przejętą całość ekonomiczno - społeczną. Potrzeba tych dwóch instytucyi tak jest powszechnie odczuwana, że nie widzę konieczności jéj uzasadniania; postaram się tylko uzupełnić pewien brak w tej ważnej sprawie a mianowicie przedstawić konkretnie, jak sobie wyobrażam podobne instytucye, po za sferą ogólników i pobożnych życzeń w dziedzinie rzeczywistości.

Naprzód kilka słów o klubie: jest on potrzebny jako pole neutralne dla stosunków czysto towarzyskich między ludźmi różniącymi się pojęciami i dążnościami, ale mającymi mimo to wspólne cele w znaczeniu ogólnem, i potrzebującymi się nieraz ze sobą porozumieć i niejedno razem omówić. Dziś błąkamy się wszyscy po różnych knajpach i tylko przypadkiem dwóch lub trzech kolegów, nieżyjących ze sobą bliżej, spotyka się w jakimś lokalu publicznym. Klub, jaki mam na myśli, nie powinien nosić na sobie charakteru zwyczajnej knajpy, gdzie można zjeść i wypić, zapalić papierosa, zagrać w karty, pogadać o tem i o owem. Na zakładanie takiego klubu szkoda byłoby i czasu i środków. Zapewne, przy klubie musi być restauracya; zgadzam się nawet, jakkolwiek niechętnie, aby były trunki, gdyż większość niestety bez szkodliwej dla pracy umysłowej podniety alkoholowej obyć się nie może, byle nie dopuszczano pijatyki, czego mógłby przestrzegać restaurator pod groźbą utraty miejsca, lub energiczny i sumienny gospodarz klubowy. Stanowczo jednak należałoby wykluczyć grę w karty, ponieważ wpuszczenie zielonych stolików zmieniłoby klub w zwyczajną knajpę i szulernie, która zamiast korzyści przyniosłaby tylko nową społeczeństwu szkodę. Jakiem niebezpieczeństwem są karty dowodzi los lwowskiego „Koła literacko-artystycznego,“ gdzie kwitnie tylko sztuka kulinarna i karciana a literaturę reprezentuje spis potraw, studyowany bardzo pilnie co wieczora przez zgłodniałych członków instytucyi. W Krakowie, o ile wiem, wcale też nie lepiej. Streszczając się powtarzam przeto: powinniśmy dążyć do założenia zwyczajnego klubu towarzyskiego, bez kart i z ograniczeniem wolności alkoholizowania siebie lub innych.

Powstanie klubu literackiego będzie miało znaczenie towarzyskie, lecz co się tyczy spółki wydawniczej tej doniosłość posiada znaczenie ekonomiczko-społeczne, zwłaszcza jeżeli będzie oparta na podstawach racyonalnych. Czytałem kilkakrotnie wzmianki o potrzebie założenia takiej spółki, lecz nie spotkałem się nigdzie z konkretnem przedstawieniem charakteru, jaki ma posiadać. Mojem zdaniem zwyczajny typ udziałowy, nieróżniący się niczem od innych typów tego samego rodzaju, nie może dawać

wysokich zysków materyalnych, ani też korzyści moralnych, jakich od takiej spółki wydawniczej literaci warszawscy mogliby się spodziewać. Powinna to być nietylko instytucya dobra dla literatów i dziennikarzy, lecz wcielenie prócz tego pewnej idei ekonomiczno-społecznej; powinna stać się dążnością, popychającą o krok naprzód nasze społeczeństwo, ospałe, nieruchawe, i nieskłonne do zaprowadzania nowych typów organizacyi ekonomiczno-społecznej. Krytykując życie nasze, wytykamy sobie błędy i przewinienia; pouczamy społeczeństwo nasze o tem, jak się ma rządzić, jak sobą kierować. Każda taka nauka, o ile jest rozumna i na wiedzy lub doświadczeniu oparta, ma wysoką wartość i cenę. Lecz wiadomo że najlepszą nauką jest przykład. To też głosiciele pewnych prawd czy zasad, powinni przedewszystkiem sami w czyn swoje hasła wprowadzać i na samych sobie ich pożyteczność wykazać. Nasze społeczeństwo weszło obecnie w fazę stowarzyszania się na zasadach kooperatywnych czyli współdzielczych. Zakładają się różne stowarzyszenia spożywcze, spółki rolne, rzemieślnicze itd., ale niechaj mi wolno będzie zaznaczyć, że ani jedna z tych świeżo powstałych instytucyj nie opiera się na rzetelnych i prawdziwych zasadach współdzielczych, że wszystkie one są raczej ich parodyą, a w tem tkwi bodaj główny powód ich niepowodzenia. Nie rozwijają się one jak należy po pierwsze z powodu naszego niewyrobienia w kierunku pracy zrzeszonej, a powtóre wskutek nieracyonalnych podstaw, na jakich się opierają. Na innem miejscu postaram się te słowa ściślej uzasadnić, tu zaś chcę tylko dowieść potrzeby oparcia przyszłej spółki literatów i dziennikarzy na tych klasycznych zasadach systemu roczdalskiego.

Na czem ten system głównie polega? Na usunięciu antagonizmu pomiędzy kapitałem a pracą, który jest rzeczą sztuczną: na zniesieniu zgubnego współzawodnictwa; wprowadzeniu zasady sprawiedliwości do stosunków ekonomicznych; zjednoczeniu kapitalisty i pracownika w jednej osbie; podziale zysków; demokratycznej jawności całego postępowania; wykluczeniu z procederu oszustwa, podstępu i wyzysku; wdrożeniu do oszczędności; zrzeszaniu się w celu wspólnej pracy dla wspólnego dobra; wzbudzaniu wzajemnego zaufania i sympatyi społecznej; zniesieniu antagonizmów klasowych; i na wynikającem z tego wszyskiego prawdziwem uspołecznieniu. Oto w krótkości klasyczne zasady systemu roczdalskiego; obszerniej wyłożyłem je w referacie, który pojawi się w najbliższym numerze *Ekonomisty*, tam więc odsyłam ciekawych szczegółów tego wspaniałego zaiste systemu. Na tych zasadach musi się oprzeć wszelkie zrzeszenie na ziemi, jeżeli mamy wyjść z błędnego koła szalonej walki o byt i wyzysku. Komuż, jeżeli nie pionierom wiedzy, godzi się pierwszym wprowadzić tę formę zrzeszenia do naszego kraju? Nie będzie to zresztą tak wielkie apostolstwo, jakby się na pozór zdawało, Ta forma zrzeszenia przedstawia bowiem stanowczo największe korzyści materyalne i moralne dla zrzeszonych; w ich więc własnym, dobrze zrozumianym interesie leży przyjęcie jej, chociażby dla tego, że jest najłatwiejszą dla ludzi biednych i kapitału nieposiadających. A więc obok dajmy na to pół rubla wpisowego udział każdego członka spółki powinien wynosić rb. 10, od których liczyłoby mu się 5% dywidendy. Każdemu zresztą wolno byłoby złożyć i na więcej udziałów także, lecz ilość ich w żadnym razie nie mogłaby być nieograniczona, a członek przy obradach miałby tylko prawo jednego głosu, gdyż w instytucyach rzetelnie demokratycznych nie pieniądz a człowiek głosuje. Suma w ten sposób zebrana na początek nie wystarczyłaby pewnie, lecz znalazłby się może człowiek dobrej woli, któryby zechciał zaryzykować nieco grosza, jako pożyczkę na 5%, gdyż więcej od pożyczek płacić niewolno, i zgromadziłby się fundusz, potrzebny do rozpoczęcia wydawnictw. Na razie wszyscy udziałowcy musieliby się zobowiązać, że dostarczą pewnej ilości prac na kredyt, nieograniczony terminem; co najwyżej najbardziej potrzebującym możnaby udzielić niewielkiej zaliczki. Oczywiści udzielanie kredytu samemu sobie w celu postawienia własnej instytucyi na nogi byłoby operacyą tak prostą i jasną, że niktby się chyba jej nie sprzeciwił. Takie postępowanie obniżyłoby znacznie koszta wydawnictwa i umożliwiło ich rozpoczęcie. Ważną korzyść przedstawiałoby posiadanie własnej drukarni kooperatywnej; na nabycie jej nie byłoby na razie pieniędzy; należałoby więc wciągnąć do spółki i drukarza, lub kooperatywę drukarską uczynić częścią kooperatywy literackiej. Rzeczy to niełatwe niewątpliwie, lecz przy dobrych chęciach dałyby się przeprowadzić. Pierwsze wydawnictwo musiałoby być niekosztowne i nieryzykowne, jakkolwie na poparcie szerokich mas obywatelstwa naszego liczyćby należało. Kooperatywa mając na swoje usługi całą prasę mogłaby wprowadzać na rynek księgarski własne nakłady. Ceny książek normowałyby się wysokością wkładu i godziwego zysku a nie konkurencyą z prywatnymi nakładcami. Co pewien czas członkowie spółki dzieliliby się w ten sposób osiągniętemi zyskami i zarobkami. Część ich mogliby zostawiać w interesie na rachunku oszczędności lub przekazywać „Kasie literackiej“ na rachunek wkladów członkowskich.

Z powstania takiej spółki kooperatywnej wynikłaby bezwarunkowo korzyść społeczna, a nawet dwie. Naprzód dobry przykład, który znalazłby niewątpliwie naśladowców, a powtóre stworzenie pewnej idei wydawniczej, której do tej pory u nas w kraju trudno się zaiste dopatrzeć. Kierowanie się przy wydawaniu książek tylko interesem materyalnym jest rzeczą szkodliwą dla kultury społeczeństwa, które przedewszystkiem powinno mieć na oku względy kulturalne, etyczne i społeczne. Takiego pojęcia swego obowiązku należałoby wymagać od kooperatywnej spółki wydawniczej literatów warszawskich.

W powyższych słowach nie kusiłem się o danie szczegółowo opracowanego programu, pragnąłem tylko wywołać dyskusyę i zyskać dla samej idei uwagę wszystkich kolegów bez różnicy obozu.

Wojciech Szukiewicz.

Polemika z prof. Szymonem Askenazym.

W rozprawce prof. Askenazego p. t. „Odgłosy Targowicy“ znajduje się taki ustęp tekstu:

Pomiędzy królem a magnatem od pół roku zerwane były stosunki. Przed pół rokiem, w ostatniej jeszcze chwili, Stanisław August osobiście był próbował wstrzymać Potockiego, „prosił, obligował, zaklinał,“ „nie jako król, ale jako przyjaciel,“ wypominał przykład Rzymu i Koryolana, nawoływał „cnotliwą duszę“ do rozwagi, do powrotu, do przysięgi na Ustawę majową. Stanowczą odprawę był dał wtedy Potocki [1], piorunując na poniżające „niewolnictwo,“ stworzone przez „dzień feralny 3 maja,“ sam króla nawołując do skruchy (str. 306)...

Do tego ustępu odnosi się następujący odsyłacz:

(Str. 306) Król do Potockiego, 2 stycz.; Potocki do króla (ogł. u Popiela, bez daty, Pisma, I, 430, 437), do Małachowskiego, 19 stycznia 1792.

[1] Komu? królowi, Małachowskiemu, czy obu razem? Odpowiedź na to pytanie rozstrzyga cały spór. (*Sm.*).

W artykule: „Prawda w badaniach historycznych profesora Szymona Askenazego“ (ob. nr. 12 *Prawdy*) zauważyłem, że w liście Potockiego *do króla* niema wyrażeń: „niewolnictwo“ i „dzień feralny 3 maja“ [1]). Prof. Askenazy w obronie swej, pomieszczonej w dziale naukowym *Kuryera Warszawskiego* (nr. 88) p. t. „Skrzynka do listów,“ podał list Potockiego *do Małachowskiego*, list z 19 stycznia 1792 r., cytowany w odsyłaczu. Odpowiedziałem mu na to w tymże *Kuryerze* (nr. 91):

„...Stwierdziłem, że w liście Potockiego *do króla* ze stycznia 1792 r. niema przytoczonych przez p. Askenazego w cudzysłowie wyrazów: „niewolnictwo“ i „dzień feralny 3 maja.“ Dodałem w przypisku, że omawiany list ogłosił w całości Popiel. W obronie p. Askenazego ze zdumieniem spotykam przytoczony list Potockiego *do Małachowskiego*, a to dla zbicia mego zarzutu. Tak! w liście *do Małachowskiego* jest coś bardzo zbliżonego do wyrazów: „niewolnictwo“ i „dzień feralny 3 maja“; jest to jednak w liście Potockiego *do Małachowskiego*, nie zaś *do króla*. Skąd tu się wziął *Małachowski*, skoro tekst rozprawki p. Askenazego (str. 306) dotyczy wyłącznie korespondencyi Potockiego z *królem*? W odnośnym ustępie tekstu niema żadnej wzmianki o Małachowskim. Dlaczego p. Askenazy powołał do tego ustępu list Potockiego do Małachowskiego? — jest dla mnie tajemnicą.

Ośmielam się sformułować nowe przeciwko p. Askenazemu zarzuty:

1) Broni własnych uchybień przeciwko prawdzie;

2) broni ich sposobami, w nauce niedozwolonymi;

3) daje cytaty, niemające żadnego związku z tekstem wykładu.

Radbym wiedzieć, jaka to szkoła historyczna upoważnia do stosowania takiej metody w badaniach i sporach naukowych?“

Prof. Askenazy zamiast uznać swój błąd, tj. przyznać, że w liście Potockiego *do króla* niema wyrażeń „niewolnictwo“ i „dzień feralny 3 maja,“ odpisał mi w *Kuryerze* (nr. 92, dod. por.) tak:

Król i Małachowski piszą do Potockiego, wzywając go do przystąpienia do Ustawy 3 maja. Im obu odpisuje odmownie Potocki. Oba listy mam w ręku, jeden z druku, drugi z rękopisu. Podaję w mej książce w jednem zdaniu treść tej *łącznej* odmowy i *w odsyłaczu cytuję oba listy, do króla i marszałka*. P. Smoleński zna tylko pierwszy, drukowany; drugiego nie zna i na tej zasadzie ślepo podaje w wątpliwość ustępy, podane stamtąd przezemnie. Udowodniam mu to czarno na białem P. Smoleński „formułuje nowe przeciw mnie zarzuty.“

Kto odpowiedź p. Askenazego zestawi z odnośnym tekstem jego rozprawki, musi zdumieć się nad odwagą obrony. Nie wątpię, że prof. Askenazy w odsyłaczu do str. 306 cytuje dwa listy Potockiego: *do króla i do Małachowskiego*; lecz zaprzeczam najkategoryczniej, żeby w tekście była mowa o *łącznej odmowie Potockiego królowi i Małachowskiemu*. W tekście jest tylko streszczenie odmowy Potockiego, danej *królowi*, streszczenie, w którem mylnie przytoczono w cudzysłowie wyrażenia: „niewolnictwo“ i „dzień feralny 3 maja.“

Prof. Askenazy grozi mi chłostą za „całokształt“ mych spostrzeżeń, „opartych od początku do końca na... niepraktykowanej bodaj u nas dotychczas metodzie krytycznej...“ Nim mnie zapowiedziana uczona chłosta dosięgnie, sformułuję ponownie przeciwko prof. Askenazemu zarzut, w formie nieco ostrzejszej, niż poprzednio:

1) Upiera się przy najoczywistszej nieprawdzie;

2) broni jej sposobami w nauce niedozwolonymi i niepraktykowanymi.

Władysław Smoleński.

[1] Nieobecność w liście Potockiego tych wyrażeń nie wyczerpuje charakterystyki wiarogodności cudzysłowów prof. Askenazego. Z wyrazenia tegoż listu: „rozrzewnił mnie,“ prof. A. robi „rozrzewnienia.“ Przytacza w cudzysłowie frazesy z opuszczeniami, nie zaznaczywszy tego kropkowaniem.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Torg.-prom. gazeta* ogłasza rozporządzenie departamentu celnego, że osoby, które wyjechały za granicę potajemnie, a powróciły za świadectwami konsulów, winny być pociągane do

odpowiedzialności tylko za potajemne przekroczenie granicy, lecz nie aresztowane i nie odsyłane etapem na miejsce stałego zamieszkania.

— Do namiestnictwa we Lwowie wniesione zostało podanie o zatwierdzenie ustawy towarzystwa przeciwpojedynkowego p. n. „Liga dla ochrony czci." Środkami szerzenia tej idei mają być: obywatelskie sądy honorowe, wpływ moralny na opinię publiczną za pomocą odczytów, pism, artykułów dziennikarskich itp.; starania o odpowiednią reformę ustawodawstwa w sprawach obrazy czci i pojedynków; postanowienie iż członkowie „Ligi" nie mogą osobistych spraw honorowych załatwiać w drodze pojedynkowej; a wreszcie udzielanie moralnego poparcia członkom, działającym w myśl zasad stowarzyszenia.

— Wśród ludności rolnej w Galicyi uwijają się agenci, werbujący ochotników do wyjazdu na Martynikę, obiecując im po 5 koron dziennego zarobku.

— Ze wszystkich księgarni w Zagrzebiu usunięto książki niemieckie, zniesiono również w całem mieście wszystkie szyldy niemieckie.

— *Dilo* ogłasza, że w majątku Romana hr. Potockiego, w pow. Przemyślańskim, wybuchła zmowa robotników rolnych. Wiadomości tej zaprzecza *Gazeta Lwowska*.

— Dnia 28 i 29 czerwca urządzony będzie we Lwowie zjazd wszystkich towarzystw gimnastycznych p. n. „Sokół," w którym weźmie udział kilka tysięcy uczestników.

— Rada miejska w Chicago wniosła projekt karania grzywną w wysokości 100 dol. tych obywateli, którzy na kartach o wynajęciu lokalów umieszczają ostrzeżenie, że „dzieci i psy nie są dozwolone."

Z Poznańskiego. *Schles. Ztg.* proponuje następujący program germanizacyjny: Wyłączne używanie języka niemieckiego we wszystkich dziedzinach życia publicznego; zniesienie biura dla tłomaczenia adresów polskich i zupełny zakaz adresowania listów po polsku; nałożenie kosztów za używanie tłomacza przed sądem na świadków, którzy twierdzą, że nie umieją po niemiecku; zniesienie wszystkich stowarzyszeń, skierowanych przeciw istnieniu i dążnościom państwa; przymus używania języka niemieckiego na zebraniach publicznych; obowiązkowe drukowanie tekstu niemieckiego obok polskiego w pismach polskich; nałożenie surowych kar więziennych za wykroczenie przeciw powyższym przepisom.

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty wyjaśnia, że uczniom, którzy pozostali drugi rok w klasie IV, wolno uczyć się tylko jednego z obcych języków nowożytnych, mianowicie tego, który był im wykładany w r. b.

— Z pośród 333 kandydatów, zdających w Petersburgu na prawo prowadzenia robót budowlanych, 66 otrzymało świadectwa budowniczych.

— Rady pedagogiczne średnich zakładów naukowych opracowały sposoby, mające na celu ulżenie pracy uczniów oraz współdziałania ich prawidłowemu rozwojowi fizycznemu. Wnioski te, zatwierdzone przez kuratora okręgu naukowego, zalecają: nadać radom pedagogicznym prawo wyznaczania dodatkowych dni odpoczynku z tym jednak warunkiem, aby nie były określone z góry na cały rok lub półrocze i nie zastosowane do dni świątecznych, według stylu starego, ponieważ święta takie nie są obchodzone w tutejszych zakładach naukowych. Zmianę godziny rozpoczęcia codziennych zajęć, rada uznała za nieodpowiednią, z powodu warunków miejscowych. Uznano za możebne skrócić długość lekcyj do 50 minut, o czem kurator okręgu naukowego zwrócił się z przedstawieniem do ministeryum. Ze skróceniem długości lekcyi dokonany będzie nowy podział dnia zajęć, który będzie rozpoczynał się o godz. 8 zrana i kończył o godz. 3 m. 50 po południu, mając następujący rozkład: lekcya ranna od godz. 8 do godz. 8 m 50; lekcya I od godz 9 do g. 9 m. 50; pauza I—10 minut; lekcya 2 od g. 10 do g. 10 m. 50; II pauza—15 m.; lekcya 3 od g. 11 m 5 do g. 11 m. 55; III pauza — 40 m.; lekcya 4 od g. 12 m. 35 do g 1 m. 25; IV pauza — m. 10, lekcya od godz. 1 m. 35 do g. 2 m. 25; V pauza — 15 m.; lekcya 6 od g. 2 m. 40 do g. 3 minut 30 Uznano za możebne urządzanie poobiednich korepetycyj zbiorowych w tych zakładach naukowych, które posiadają lokale obszerne Dla ułatwienia uczniom taniego korzystania z śniadań mają być wprowadzone samowary kosztem funduszów szkolnych, dla niezamożnych — bezpłatnie. Ćwiczenia fizyczne odbywać się powinny w czasie pauzy 40-minutowej; w gimnazyach żeńskich gimnastyka może być zastąpiona lekcyami tańca. Niema obowiązku noszenia tornistrów. Nadzór nad stanem wzroku i jamy ustnej ogranicza się do jednorazowych oględzin uczniów przez lekarzy specyalistów, których orzeczenia będą komunikowane rodzicom.

Wiadomości naukowe. Nagrodę 100,000 franków, przeznaczoną przez bankiera Osiera w Paryżu za wybitne odkrycie naukowe, przyznano profesorowi, kierownikowi zakładu Pasteurowskiego, Emilowi Roux, który całą tę sumę przekazał instytutowi.

Ze sztuki. W Towarzystwie Zachęty w Warszawie otworzono wystawę obrazów i rzeźb konkursowych.

— Tow. przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie ogłasza konkurs na litografię artystyczną, przeznaczoną na premium dla członków. Autorowie dwu najlepszych prac otrzymają po 600 kor. oraz dodatkowo 800 kor. za pracę przeznaczoną do reprodukcyi. Termin 1-go czerwca r. b.

Literatura i prasa. Redakcya krakowskiego dwutygodnika literackiego p. t. *Przyszłość*, ogłasza konkurs na nowelę zaczerpniętą z życia młodzieży, oraz na winietę tytułową. Nagrody: za pierwszą pracę 15 koron, za drugą 25 koron. Utwory nadsyłać należy do dnia 1 maja r. b. pod adresem redakcyi w Krakowie, Wielopole nr. 5

Katastrofy. Dnia 28 i 29 z. m. w Andidżanie było znów silne trzęsienie ziemi. W odległości 40 wiorst od tej miejscowości uległo zburzeniu Kiszalk-Asz; są ofiary w ludziach.

— D. 30 z. m. w Jerozolimie było silne trzęsienie ziemi.

W Kowalu, w pow. Włocławskim, pożar zniszczył kilkanaście zabudowań, straty wynoszą około 50,000 rb.

Zmarli. Jan Sobieszczański, radca prokuratoryi Królestwa Polskiego, prezes Tow. zachistów, w Warszawie.

— Zofia z Mrozowieckich Rudnicka, autorka powieści obyczajowych; w 75 roku życia, w Strzałkach, w Galicyi.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Knoll w Petersburgu. Szczegóły dotyczące spostrzeżeń, zacytowanych w artykule „Podłoże cech dziedziczonych" znaleźć można w pracach: 1) *Boveri* „Das Problem der Befruchtung," Leipzig, 8⁰, 1901; 2) *Loeb J.* „On the Artificial Production of Normal Larvea from the unferlitized Eggs of the Sea" (Arbacia), Amer. Journ. Physiol. T. IV, 1901; 3) *Wilson E. B*: „Experimental Studies in Cytology" Archiv. für Entwickelungs mechanik. T. XII und. XIII 1901.

P. Adamowi Stodor. Nadesłanego utworu drukować nie będziemy.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 27 Марта 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.